DUNAJEC
TYGODNIK DZPR
Nr 16 (27) ROK II Nowy Sącz, 19 kwietnia 1981 Cena 4 zł

Antoni Kroh

Królewna Wiochna, czyli żarłoczne bliźnięta

Uczniowie starszych klas szkół podstawowych dręczeni byli za moich czasów wypracowaniami o wiośnie. Ofiarne panie nauczycielki, działając w najlepszej wierze, prały dziecięce mózgi, żądając natarczywie i kategorycznie, by w naszych zeszytach do polskiego panowała Królewna Wiochna, zieleniła się świeża ruń, nabrzmiewały pąki, ruszały lody, kicały zajączki, bociany krążyły nad rodzinną strzechą, a śpiące w swych norkach borsuki oraz niedźwiadki przecierały oczka. Im słodziej, tym lepiej, im konkretniej, tym gorzej. Zaś wiosną, jak to na wsi, szkoła pustoszała, bo dzieci musiały robić w polu i nie miały czasu na głupstwa. Ja natomiast, jedyny bezrolny w całej klasie, traktowałem sprawę typowo po inteligencku. Otóż mając do wyboru: napisać kiczowato i otrzymać piątkę lub napracować się rzetelnie i narazić się na przykrości — wybierałem trzecią możliwość, a mianowicie szedłem na wagary. Obiecywano mi za to solennie, że skończę w rynsztoku. I sprawdziło się.

Lecz wracając do tematu wypracowania: cóż to dzieje się wiosną około Wielkiejnocy w przyrodzie i w sercach ludzkich? Etnografowie starej daty ujęliby rzecz następująco: lud nasz jurny a zadziorny, krzepki, hardy a zaradny, od gorzałki nie stroniący, figle czynić lubi. Ot, ukraść w fabryce kilka puszek lakieru nitro i zasmarować sąsiadowi okna, zbić wrota gwoździami lub zdrutować starannie, porwać studzienny łańcuch, wciągnąć wóz na dach itp. Normalnym, zdrowym na umyśle ludziom około Wielkiejnocy nagle palma odbija; poświęcają się, nocami nie śpią, trudu i grosza nie żałują, karku nadstawiają, aby tylko dokonać jakiegoś kretyńskiego wyczynu, który potem wspominać się będzie z rozrzewnieniem i tęsknotą. Rzecz ciekawa: gdyby np. wysmarować komuś drzwi i okna w czerwcu albo w drugim półroczu, byłby to odrażający chuligański wybryk. Teraz zaś jest to świetny dowcip. Niechaj zrozumie, kto może.

Ja zaś, samotny i smutny jak w dzieciństwie, siedzę przy biurku i czytam gazety. „Kulisy" piszą, że do budowy domów wielkopłytowych używa się surowców radioaktywnych i z tego właśnie powodu umiera dziennie jeden Polak, następne pokolenia degenerują się, a śmiertelność mieszkańców nowych bloków jest o ileś tam procent większa, niż reszty narodu. Cóż więc mam zrobić, u diabła? Wyprowadzić się na Gęsie Planty, czy też od razu na cmentarz, fundując sobie nowoczesny lastrikowy grobowiec, tzw. salceson? Czy też raczej trwać w nadziei, że to sąsiad niebawem wyciągnie kopyta, a nie ja?

Omiatam spojrzeniem radioaktywne ściany mieszkania i sięgam po tygodnik „Antena". Dawniej nazywał się on „Radio i Telewizja", ale nieubłagana odnowa dociera wszędzie, przynajmniej w kwestii szyldów i nazw. „Antena" donosi, że z telefonizacją w Polsce jest fatalnie; więc proponuje się, by abonenci mieszkaniowi zostali zobowiązani do przybicia na drzwiach tabliczek, informujących, w jakich godzinach każdy będzie mógł z ich aparatu korzystać. Genialne! Co prawda nie mam telefonu, ale mam sedes, zaś ilość sedesów na głowę ludności również jest niewystarczająca. Występuję więc z inicjatywą: niechaj Spółdzielnia Mieszkaniowa zorganizuje u mnie publiczny szalet, a mi da pół etatu pisuardessy, o ile mój pierwszy pracodawca wyrazi zgodę, bo bez tego ani rusz.

„Gazeta Krakowska" jest pismem świetnym, jednym z najbardziej poszukiwanych w Polsce. Podobno w Warszawie i na Wybrzeżu za poszczególne numery płacą po 50 i 100 złotych. Nie tylko dlatego, że w „Krakowskiej" pisuje redaktor Antoni Kiemystowicz, ale również z innych powodów. Cóż tu ukrywać: cierpię na zapiekły kompleks niższości wobec tego twórcy, szczególnie od czasu, gdy przeczytałem jego wieloznaczną i jakże celną fraszkę *„Dobrobyłu nam przyczyni, kto pomoże przytyć świni"*. Usiłowałem zgłębić ów tekst, dokonać jego egzegezy, wyjaśnić sobie, kto jest ową świnią i jaka jest ogólna wymowa utworu (czy jest on pamfletem politycznym czy też tzw. poezją zaangażowaną), ale było to zadanie ponad moje siły. Fraszek Kiemystowicza nie trzeba rozumieć, lecz należy ich słuchać jak śpiewu słowika, sączyć powolutku niczym stare wino. Jasne więc, że od tego właśnie twórcy rozpoczynam lekturę „Gazety".

Następnie nieoceniony „Raptularz", który jest rozrywką lekką, łatwą i przyjemną, pełniąc jednocześnie społeczną służbę i umacniając wiarę w zwycięstwo dobra nad złem. Ot, taka chociażby notatka: **„W Nowym Targu na ulicy Manifestu Lipcowego koń zrobił kupę. Nie ma jej kto sprzątnąć. Auta łamią resory, cudzoziemcy patrzą. Kupę dedykujemy ojcom miasta".**

Inne stronice „Krakowskiej" nie są już tak jednolite stylistycznie i tak łatwe w odbiorze. Czytam raz, potem drugi raz — i powoli, bardzo powoli zaczynam pojmować, co się w kraju dzieje. Proszę się nie dziwić, że przychodzi mi to z ogromnym trudem.

Za to telewizja jak przed wojną, tj. pardon, jak przed odnową. Oto na ekranie pojawia się pani dyrektor od kartek żywnościowych. Widać, że jest to kobieta energiczna, dziarska, pełna swady. Dziennikarz pyta: *„Pani Dyrektor! Jak wiadomo, bliźnięta w wieku poniżej jednego roku traktowane są jak jedno dziecko. Co więc robić, jeśli pojedynczy przydział jest dla nich za mały?"* Na to pada odpowiedź: *„Jeśli są to wyjątkowo żarłoczne bliźnięta, to niech rodzice napiszą podanie do prezydenta miasta, który w drodze wyjątku może uznać, że bliźnięta to dwoje dzieci, a nie jedno."*

Na wieść o bliźniętach, które mają jeden wspólny żołądek, postanawiam się upić. Wiem, że wódki nie ma, bo reszta sadzeniaków i ziarna siewnego dawno już została przerobiona na spirytus i wypita, ale niechby było nawet wino, choćby to bratnie, bułgarskie... Biegnę. Sklep zamknięty, w kraju prohibicja.

Przed sklepem spotykam Jacka. Wygląda na to, że także chciał się zalać. — Cześć, co słychać? — pytam. — Jak najgorzej, stary, już nie mam zdrowia do tego wszystkiego — mówi grobowo Jacek. — Kobita mi się zapisała do „Solidarności" i jest wielką działaczką, a w domu brudno, nic do żarcia, obiadu nie jadłem od czterech dni. Przemawiam do niej jak do człowieka, a na to słyszę, że jak mi się nie podoba, to mogę się wyprowadzić. Tak, stary. Przedtem taka nie była, to w „Solidarności" nauczyła się pyskować.

Żegnam Jacka pospiesznie, chcę gdzieś uciec, chcę być sam. Idę do lasu. „Będzie stan wyjątkowy, czy nie będzie?" — ćwierkają ptaszki.„Co będzie z nami, ku czemu idziemy?" — zastanawiają się zajączki, sarenki i inne zwierzątka. Królewna Wiochna zawitała. Wesołego Alleluja, Polsko Ludowa — jak głosi inskrypcja na pisance, wykonanej w latach socrealizmu, a obecnie spoczywającej w magazynie muzeum etnograficznego.

Irena Styczyńska

Wiosenne Święta

Oto znów nadchodzi Wielkanoc. Wracam myślą do lat dzieciństwa, do rodzinnej wsi; jakże inaczej wyglądały tam obrzędy świąt wiosennych, jak odmiennie od tych późniejszych, gdy zamieszkałam w mieście...

Niedziela Palmowa przebiegała pod znakiem wielkiej parady „palm", ubranych kolorowymi wstęgami. Naszą domową — niedużą — robiliśmy z prętów wikliny, leszczyny i kwiatu trzciny, po które chodziło się jeszcze po lodzie na rozlewiska Dunajca w zbyszyckich równinach. Wcześniej, zimą, za wyproszone z trudem u starszych grosze kupowało się w wiejskim sklepiku kolorowe bibułki. Cięło się je we wstęgi, układając pracowicie w pliski, by później zwieńczyć ich pięknem szczyt palmy.

Na te okazalsze, strojniejsze palmy — niesione przez dwóch, a nawet trzech mężczyzn — biegło się zazdrośnie patrzeć ku oddalonej od domu drodze. Zamożni gospodarze wieźli je do kościoła w Zbyszycach wasążkami konnymi. Po wniesieniu do kościoła wysokie palmy opierano o balaski chóru; niższe lokowano w przodzie nawy. W czasie układania słychać było szelesty bibułkowych wstęg, palmy kołysały się w podmuchach powietrza, a ich drobny kwiat pylił się nad głowami, obsypując stojących szarym nalotem. Chłopcy przepychali się, by stanąć bliżej ołtarza, bo im więcej wody święconej padało na palmę, tym ważniejsze było jej znaczenie.

W przedświątecznym tygodniu robiono z palm krzyżyki — jak zwyczaj nakazywał — by spożytkować je w Poniedziałek Wielkanocny.

Wstępne dni Wielkiego Tygodnia były już w naszym domu ciche i poważne. Pilnowano, by nie dochodziło do swarów, pokrzykiwań, aby nie było głośnych rozmów.

Tydzień przed Wielkanocą miał wiele znaczeń dla pracujących na roli. Gospodarz obsiewał wtedy owsem czy jęczmieniem przynajmniej jeden zagon, jeśli pora wiosny czy pogoda nie pozwalały na więcej: wierzono, że zasiane w tym czasie jare zboże przyniesie obfity plon. Z tych samych powodów starano się w Wielki Piątek zasadzić wczesne ziemniaki oraz zasiać kapustę — drugie po ziemniakach podstawowe jadło wiejskie; ta wielkopiątkowa miała być niedostępna dla plagi mszyc i gąsienic. W tym ważnym dniu zasadzało się też kwoki, by wyprowadzały zdrowe kurczęta.

Matka wspominała, że w jej rodzinnym domu ubierano się w czasie przedwielkanocnego tygodnia w ciemną odzież bez ozdób, a babcia dla większego umartwienia nosiła w Wielki Piątek przyodziewek ubrany na lewą stronę i przykazywała by zapamiętać wielkoczwartkowe sny: miały się sprawdzać.

Wielkopostny tydzień był dla kobiet bardzo pracowity. Trzeba było wybielić i odchędożyć dom, wyszorować ługiem sprzęty i podłogi. Dużo wcześniej składało się w kamienne garnki uciskany ser, zalewając go z wierzchu masłem dla utrzymania świeżości; składało się też kopy jaj, jako że były one podstawą wielkanocnych potraw i wypieków. Dbano, by nie brakowało na święta wędlin i dla licznych domowników, i dla tych, którzy pomagali przy pracy w polu. Każde z dzieci i służby dostawało do święcenia osobną kiełbasę: jej rozmiary były odpowiednie do wieku i pilności.

Dom nasz — oddalony od kościoła parafialnego o kilka kilometrów — był miejscem, gdzie w Wielką Sobotę gromadzili się bliżsi i dalsi sąsiedzi oczekując proboszcza, który objeżdżał wsie podległe jego parafii, aby tradycyjnie poświęcić wielkanocne potrawy.

Wiele uwagi przykładało się w domu do obfitości stołu świątecznego. Tradycyjne święcone przygotowywano w zimnym pokoju (nie było w nim pieca). Fałdy obrusa zdobiło się gałązkami mirtu, lub innej zieleni; na stole rozmieszczano potrawy według ich ważności. Po stronie prawej — bochen nakrojonego chleba; po lewej — stertę kołaczy, po jednym dla każdego z domowników; po środku, na misce lub desce, zwój parzonej kiełbasy, przetykanej korzonkami chrzanu z zielonymi listkami; na przodzie sporo jaj, brązowych od gotowania w łuskach cebuli i błyszczących od nacierania skórką słoniny, obok cukrowy baranek z chorągiewką, stojący w wazoniku na dywanie kielkującego żyta. Wyrabiało się też leżącego baranka z masła: jego wełnę udawały pracowicie sporządzone strużki maślane, czarnymi oczami były ziara pieprzu. Do tego jeszcze sól — by dom od chorób i ognia chroniła — oraz ocet i wino o znaczeniu symbolicznym. Dekoracji stołu dopełniały wiklinowe bazie, przyniesione znad rzeki żółte kwiaty podbiału i stokrotki oraz zawilec z bliziutkiego lasu. nieśmiało wciśnięte na stół wielkanocny przez dzieci. Sąsiedzi znosili swoją „święconkę" w koszykach, przetakach, białych płótnianych chustach.

Wszyscy niecierpliwie wyglądali ku drodze, czy nie widać plebańskich koni. Wszak oznaczało to nie tylko uroczystą chwilę święcenia, ale i zaprzestanie postu, przestrzeganego w Wielkim Tygodniu nie tylko w pożywieniu, lecz także w mowie i ubiorze.

Przy spożywaniu święconego w Niedzielę Wielkanocną każdy był obowiązany przegryzać korzonkiem chrzanu, co miało przez cały rok chronić przed chorobami.

W dniu Wielkanocy oczekiwało się rodzinnych odwiedzin. Przysłuchiwałam się rozmowom starszych przy świątecznym stole. Zaczynało się od mówienia o sprawach chłopskich i o wsi; wszak dziadkowie i ojciec mocno tkwili w ruchu ludowym. Nazwisko Witosa utrwaliło mi się w pamięci już od tamtych lat, choć znaczenie tego działacza przyszło mi poznać znacznie później, po drugiej wojnie światowej.

W drugi dzień Świąt Wielkiej Nocy, wczesnym świtem, młodzi chłopcy roznosili palmowe krzyżyki po zagonach ozimin, po sadach, przybijali je do domów i obejść gospodarskich: miały chronić od gromów, zarazy i ognia. Zrobione były z leszczynowego trzonu „palmy". Dowodem życzliwości sąsiadów było przynoszenie swoich krzyżyków, zdobionych suto bibułkowymi wstążkami, i przybijanie ich do drzwi naszego domostwa lub w sąsiedztwie okien. Dziękując za nie, zapraszało się na sąsiedzki poczęstunek. Trwa ten zwyczaj po dziś.

W „lany poniedziałek" chłopcy z naszej wsi mieli zwyczaj wrzucania dziewcząt do rzeki czy koryta z wodą, w których pojono zwierzęta. Dyngusowano tak do czasu, kiedy pławienie w zimnej wodzie o mało się nie skończyło śmiercią dziewczyny. Odtąd tego obyczaju zaniechano.

Wielkim widowiskiem były korowody weselne, jadące w Wielkanocny Poniedziałek ku kościołowi w Zbyszycach. Strojne we wstążki konie, przygrywająca kapela i... kromki kołacza, rzucane dzieciom w fartuszki przez starościnę wesela, dopełniały przeżyć tego dnia (matka gniewała się, kiedy znosiliśmy ten weselny poczęstunek do domu).

Coż przetrwało z tamtych dawnych tradycji świątecznych w moim domu w mieście?

Mała symboliczna palemka — wieziona później synowi, by była przy nim matczyna życzliwość, gdyby zabrakło mu sąsiedzkiej — i nieduży koszyczek ze święconym...

W ubiegłym roku, w drugi dzień Świąt Wielkanocnych, poszłam brzegiem Dunajca na poszukiwanie wiosny — ku biegonickim polom. Na miedzy spotkałam dwóch dwunasto- trzynastoletnich chłopców, niosących pęk krzyżyków z palmy. Patrzyłam za nimi z rozrzewnieniem, kiedy wbijali krzyżyki w pola oziminy; wróciły mi doznania z dzieciństwa. Lecz oto u jednego z nich pojawiła się w ręku wyciągnięta spod kurtki butelka; podał ją towarzyszowi. Częstowany przechylał flaszkę wysoko; widać nie było w niej dużo płynu. Nie bez przykrości patrzyłam na to alkoholowe zakończenie obrzędu, mającego chronić od wszelkiego dopustu, lecz przecież życzyłam w duchu tym „gospodarzom", by im nie zabrakło chleba z rodzinnych zagonów.

Tego też serdecznie życzę i dzisiaj nam wszystkim.

Trudno jest podliczać ludzkie uczucia; nie znają żadnej miary. Nie ogarniemy zatem trosk, poświęcenia i goryczy, blasków i cieni krzesanych z nadziei i ze zwątpienia; i nikt nie wyrazi życia, które — tknięte wojną — pozostanie w nieustannej walce aż do swoich ostatnich dni.

To właśnie my — pokolenie wojny — jesteśmy świadkami ludzkiej brutalności, bestialstwa... Otarliśmy się o ten chropawy ból, który może być przestrogą i dumą, i wstydem dla tych, którzy go wywołują. Jesteśmy tymi, których kształtowała ciągła czujność, palec trzymany na spuście, czyhająca śmierć, a potem — już po wojnie — rozczarowanie wobec własnych nadziei i ufności. Tak, zbyt ślepo wierzyliśmy, zbyt żywiołowo i wylewnie krzesaliśmy swoją radość. Bo oto wnet znowu przyszedł taki czas: nowe zbrodnie w świecie podeptały naszą miłość, naszą ufność i poświęcenie, zbeszczeszczono i poraniono nasze tamte marzenia. I często myślą, że już nikt nie zdoła usunąć tych blizn — pozostaniemy zranionym pokoleniem, pokoleniem napełnionym obficie wojenną męką i trwogą, żałosną tęsknotą i zawiedzionymi marzeniami. Tak, marzeniami! tą naszą dźwignią i źródłem tamtej ufności.

Nosimy więc w sobie morze gorzkiej, buńczuczności i wciąż wracamy do wspomnień.

Jakże mocno utkwił mi w pamięci ów tragiczny romans — Czuganina z Barbarą. Tak, tego naszego partyzanta z uroczą łodzianką, która na skrawkach papieru, na leśnych drogach i ścieżkach rysowała swoje wojenne losy — swoją miłość i poświęcenie, i swoją walkę.

Tak, Przyjacielu, Barbara to była piękna i utalentowana dziewczyna! I bardzo dzielna!

Obserwowałem ją kiedyś ukradkiem... Noc, ognisko w lesie, młoda dziewczyna, jej duże, czarne oczy wpatrzone w płomienie, roziskrzone ciepłym blaskiem, na brunatnym igliwiu siedziała, wsparta była plecami o pień, rudy i gruby pień sosny, kolana podciągnęła, na nich lewa dłoń i broda wsparta na dłoni, a palce drugiej ręki — prawej — niespokojne, wciąż coś rysujące na tym brunatnym igliwiu; pomyślałem: „Jaka szkoda, że nikt nigdy nie zobaczy tego, co rysuje, że nikt nigdy nie zobaczy tych przedziwnych kształtów, których treścią jest zapewne protest i skarga!" Myśląc tak, wciąż obserwowałem jej rękę, to znowu oczy pełne blasku i zamyślenia, a potem znowu zawiłą drogę ręki. W pewnej chwili Barbara znieruchomiała — posąg, rzekłbyś, tylko w oczach tęskny żar: skoncentrowana treść nie spełnionych pragnień. A potem nagłej chwili, która gorącym uderzeniem gasiła wyłączny świat człowieka; tylko jemu jednemu przypisany. Znamy więc jedynie okoliczności.

Pamiętasz zapewne święta wielkanocne, te w czterdziestym pierwszym roku — pogodny dzień kwietnia i pełne niebo huku. Nad koronami drzew rozdzierające wycie maszyn, wybuchy bomb, terkot broni pokładowej, a w dole płomienie i dym gnane wiatrem w głąb zagajników; i my w tych zagajnikach — twarze okopcone, oczy poczerwieniałe, łzawiące, wygryzane siarką i swądem, po trochu przerażone, ale wciąż czujne; sporo było już poparzonych i coraz więcej rannych; i zapewne jesteś w stanie przywołać we wspomnieniach ową grozę

STANISŁAW GLINKA

„Błogosławieństwo

gle dostrzegłem Czuganina — jej kochanka. Widziałem dokładnie ich przywitanie, to splecenie się jej i jego uśmiechów, jej i jego spojrzeń; mocne i ulegle zarazem, właśnie takie, z których czytałem, że należą do siebie na śmierć i życie!

Spojrzenie i uśmiech Barbary, to było spojrzenie i uśmiech Mony Lizy — lekki jak mgła, tajemniczy i porywający; i z wolna roztapiający się w szczerym spojrzeniu kochanka. To było coś, co nosi znamiona niezniszczalnej trwałości. Miłość Barbary z Czuganinem była żarliwa, ale smutna; dlatego smutna, że żyła w ciągłym zagrożeniu. I jak wiele pięknych uczuć, miłość ta została przecięta, bo przypadła na czas wojny — wpierw zginęła Barbara, po niej poległ Czuganin, i pozostał po nich w pamięci tylko ból nie spełnionych tęsknot — ten sam, którego doświadczyło wielu z nas.

Jak zginęła Barbara? Jak zginął Czuganin?

Nikt, kto żywy, nie może znać głębin śmierci tych, co wówczas umierali. Zresztą w ogóle nikt z żywych nie jest w stanie ogarnąć szczegółów owej przeszywającą do szpiku kości, tę grozę, która towarzyszy człowiekowi na granicy życia i śmierci, i kiedy nie tylko o własne ocalenie chodzi.

Tak, Przyjacielu, to była ta jedna z pierwszych wielkich obław przeciwko nam, przeciw partyzantom. A zapewne pamiętasz: nosiła kryptonim „Ostersegen", co po naszemu znaczy — „Wielkanocne Błogosławieństwo". Pomyśl: „błogosławieństwo" — co za ironia! I w tym piekle obławy była również Barbara z Czuganinem. Nikt wtedy, rzecz jasna, nikogo specjalnie nie obserwował, ale pamięć sama mimochodem notowała pewne szczegóły: — i te również, o których się mówi, że w taki czas nie mają bojowego znaczenia. To dobrze, bo potem wiedzieli: „Barbara trzymała się cały czas blisko Czuganina. Przedzierali się razem pod osłoną nocy — mówili. — Razem biegli, razem atakowali hitlerowskie pozycje. Atakowali w tym miejscu — mówili — gdzie przecinają ochocińskie łąki tory kolejki. I tam trafiła ją seria. To była seria z erkaemu... Tak! Na pewno! Tam gdzieś szczekała ta przeklęta «suka»"!

Pienińska Wielkanoc

Fot. JERZY ŻAK

Szczawnica zawsze z wytęsknieniem oczekiwała Świąt Wielkanocnych. Ludziom się tu nie przelewało, a surowo przestrzegane rygory wielkopostnej diety stawały się torturą dla wyniszczonych zimą i niedożywianiem organizmów. Bo na cały czas postu nawet garnki musiały być wyparzone, tak by ślad tłuszczu, a choćby i mleka na ich ściankach nie ostał. Przez całe czterdzieści dni u najbogatszych nawet gospodarzy nie jedzono nic ponad juchę — jałową bryję na serwatce — lub pamułę z suszonych jabłek, gruszek czy śliwek. Taka grusconka, jabconka, czasem kapuśniarka, nieco przyczyniona mąką, i niekraszone ziemniaki musiały zaspokoić głód. Toteż coraz bardziej łakomie patrzono ku spiżarniom, gdzie zawsze spoczywały jakieś sery, słonina, a choćby krupy.

Niecierpliwie oczekiwano też wiosennej uciechy, w poście niedozwolonej. Wszak nawet odzież musiała być poważna, żałobna, nawet w lustro patrzeć nie należało, a co dopiero mówić o wizytach kawalerów po panieńskich domach!

— *Ciemne chusty, czarne spódnice trzeba było nosić do kościoła przez cały post* — wspomina Stanisława Malinowska ze Szczawnicy. — *I dziś żadna starsza kobieta inaczej się nie ubierze.*

— *A chłopcy musieli mieć kapelusze bez kostek, jak na pogrzeb* — dodaje jej mąż, pan Dominik, rozmiłowany w swej Szczawnicy i dobrze pamiętający jej dawnych ludzi i obyczaje. Nie przypadkiem tu właśnie skierowałam swe kroki, chcąc poznać zwyczaje wsi u podnóża Pienin.

Wielkie wiosenne porządki rozpoczynano jeszcze przed niedzielą palmową. Każdy kąt musiał być wymieciony, odkurzony, szyby powinny lśnić w wiosennym słonku, miotła musiała zawiatać i do stajni, i do obory, i na boisko.

W niedzielę palmową, z najdalszych okolic, sunęli do kościoła ludzie z palmami w rękach. Bo te poświęcone bazie cudowną zyskiwały moc i niesposób było bez nich gospodarzyć.

Tak wkraczano w Wielki Tydzień — czas przygotowań do świętowania.

Gospodynie szykowały tradycyjne potrawy, bez których nie mógł się obyć żaden, nawet najuboższy, świąteczny stół. Potrawy nie tak urozmaicone jak na Gody, ale równie ważne.

Szynka czekała jeszcze od zimowego świniobicia, owego przed Bożym Narodzeniem.

— *Choćby jaki głód był, choćby jaka potrzeba, to szynkę trzeba było trzymać na Wielkanoc. Nieraz taka była już twarda i sucha, że zęby przy jedzeniu bolały. Ale była. Koniecznie też masło, bo krowy się już pocieliły, chrzan i farbione jajka. Farbiono je papierem czerwonym i brązowym, czasem gotowano w łupach cebuli. Niektórzy, na przykład Czaje, Pytle i kilku innych, którzy umieli ładnie rysować, malowali pisanki.*

— *No i koniecznie pieczone kołoce. Świąteczne, gospodarskie: ciastem chlebowym, przeważnie żytnim z jęczmieniem, wykładano okrągłą blachę z ząbkami, na ciasto kładziono ziemniaki gotowane utłuczone z bryndzą (im bogatsza gospodyni, tym więcej dawała bryndzy a mniej ziemniaków), śmietaną, cukrem, czasem jajami i żółtym korzeniem. Nie, to nie był szafran. Żółty korzeń smakował trochę jak imbir; dziś się go nie spotyka. Wstawiało się taki kołoc do chlebowego pieca. Dzieciakom tylko ślinka ciekła na widok lśniącej, pięknie zrumienionej skorupki! A po prawdzie to i wszystkim...*

W sobotę szło się ze święconym. Ci, którzy mieli blisko kościół — do kościoła, gdzie przy ołtarzu zostawiali po jednym surowym jajku dla księdza. Ci z wyżniej wsi i z dalszych okolic ustawiali się na moście rzuconym przez Grajcarek. Most ten w przeddzień dzieci do czysta zamiotły; miały przy tym uciechę. Potem z koszykami, w których leżały jajka, chrzan, masło i szynka, czasem kiełbasa, pięknie przybranymi bukszpanem, stawały szpalerem, a ksiądz szedł mostem potrząsając kropidłem...

W niedzielę wieś rozkwitała barwnymi chustami i spódnicami kobiet. Kapelusze mężczyzn strojne były w kostki. Wielki post się skończył!

Po domach uroczyście zasiadano do stołów. Na obiad zawsze musiał być obrok.

— *Do jednej miski krajali trochę kiełbasy, trochę szynki, kołoca, słoniny, wlewali maślonkę, mieszali. Jednak starzy obroku nie jedli — starzy pościli jeszcze przez pierwsze święto od mięsa, żeby się bydło wiodło.*

— *Do dziś tak jest, że starzy w Wielką Niedzielę mięsa do ust nie wezmą.*

W poniedziałek — wiadomo: polewanko. Chłopcy szykowali się na nie zbierając gałązki dzikiego bzu, z którego wypychali rdzeń i w ten sposób robili strzykawki. Gorzej, gdy święta były ciepłe — wtedy i wiadrami wodę leli, a nawet potrafili co ładniejsze i takie, co im zanadto za skórę zalazły, dziewczyny, do potoka zawlec i skąpać.

— *Pamiętam, jedna to się od polewanka pochorowała.* — Śmieje się pani Stanisława.

— *Ale najwięcej obyczajów wiązało się z gospodarką* — mówi pan Dominik. — *Szczawnica była wsią ubogą, plony były tu marne, więc ludzie w czarach, zaklęciach, w obrzędach szukali pomocy, chcieli sobie zapewnić urodzaj i pomyślność. Żeby tylko się darzyło, żeby rodziło, żeby wszystkie siły przyrody sprzyjały i Bóg żeby sprzyjał.*

Gdy więc krowa urodziła wiosną swe pierwsze cielę — pierwsze masło z jej mleka topiono, zlewano do szklanego naczynka, wkładano knot — i tę lampkę stawiano przy grobach wielkanocnych.

— *Takiej krowy to już żaden czarownik nie poczarował i mleka nie odebrał!*

W Wielki Piątek, *w czas ranny, zanim ptak pieśnie*, robiono masło, które — poświęcone — służyło jako najskuteczniejszy lek dla zwierząt, zwłaszcza przy schorzeniach wymion krowich.

— *We Wielkim Tyźniu każdy chciał choć na jednym kawałku pola zaorać. A jak pierwszy raz jechał do pola siać, to brał baźki ze święconej palmy i kładł za skibą, żeby broniły od burzy. Albo rzucał do worka z ziarnem kawałki palmowych gałązek i wysiewał razem.*

— *Ja do dziś kładę bazie za skibą.*

Dużą moc miał też popiół z ogniska rozpalonego na kościelnym dziedzińcu w Wielką Sobotę. Pierwszego po świętach pogodnego dnia sypano go po polach, po troszeczce, żeby wszędzie starczyło. A głównie, jak i gałązki palmy, skrzętnie chowano na wypadek burzy — ich dym przerywał gromy.

Sypano też w ziemię — tym razem w grządki przydomowych ogródków — skorupki święconych jajek. Warzywa lepiej się wtedy darzyły.

— *Mówili też ludzie: dokąd dojdzie głos wielkanocnego dzwonu na pola, tam się lepiej rodzi!* — kończy pan Dominik. — *Jasne, że lepiej! Łatwiej przecież obrobić pole położone niedaleko wsi. Ale dawniej ludzie rzadko myśleli o tym, jaka prawda rzeczywiście kryje się za wszystkimi obrzędami i zwyczajami, a tylko wierzyli w ich niezwykłą, czarodziejską moc.*

Notowała ELŻBIETA GLINKA

Wielkanocne"

Mówili, że ktoś, kto biegł obok Barbary, zatrzymał się, gdy upadła, że chciał jej pomóc, chciał... Ale Barbara nie dawała już żadnego znaku życia. Wziął więc tylko jej pistolet, który ściskała w martwiejącej dłoni, i zdjął z jej szyi niebieski szaliczek.

Dlaczego akurat szaliczek? Mój drogi, takich rzeczy nikt nie wytłumaczy — to jest po prostu odruch! W tym zgiełku, w tym rozszalałym pośpiechu zapewne błysnęło mu w myśli: Talizman! weź dla Czuganina jakiś talizman! I ot, same ręce wybrały tę niebieską szmatkę.

Śmierć Barbary mocno wstrząsnęła Czuganinem. Można rzec, że do końca swoich dni nie zdołał się z tego ciosu otrząsnąć. Po prostu ogarnęła go jakaś uparta i melancholijna pasja pożądania zemsty. Czasem wpadał w zadumę i trwał w niej całymi godzinami. W ponurym milczeniu snuły się wtedy jego myśli — po stokroć przeżywał utratę tej jasnej cząstki swego żołnierskiego życia, która uświęcała ufną wiarę w jutro. I teraz już tylko przywracały go życiu chwile walki, nadzieja, że może pomścić swoją stratę. Wtedy stawał się groźny i nieustraszony.

Prześledziłem uważnie losy Czuganina po śmierci Barbary i twierdzę: on od tej chwili szukał własnej śmierci. Szukał kontaktu z hitlerowcami, prowokował ich przy byle okazji, by móc do nich strzelać, strzelać, strzelać — i zabijać! I tylko w owym szale zabijania znajdował ulgę. Nie baczył na odniesione rany — kilkakrotnie postrzelony nie pozwalał ranom goić się z dala od strzelaniny. Atakował z bólem i przez ból — w pokrwawionych opatrunkach; a po każdym boju wyjmował zza pazuchy malutkie zawiniątko — niebieski szaliczek — i całował go z namaszczeniem.

Czuganin zginął w listopadzie; tego samego roku co Barbara. Obolały z ran, głodny i zarośnięty, zgoniony tułaczką i wyczerpany ciągłą czujnością, ciągłym napięciem, żarty tęsknotą i uczuciem zemsty, stanął do swojej ostatniej walki. Jeśli dobrze pamiętam, stało się to w jakiejś niedużej wiosce; około południa. Mówili: „— Grenadierzy obersturführera Weddigena go zabili. Tak, z tej przeklętej dywizji «Germania»". Mówili: „— Przyplątali się tego dnia do wsi za gęsiami czy kurami, cholera ich wie?! I natknęli się na niego w którejś z chat". Mówili: „— Czuganin nie chciał uciekać. Nie chciał opuścić domu, w którym kwaterował". Ponoć powiedział: „— Tu przywitam tych sukinsynów! Tu się zmierzymy, a dopiero potem..." Mówili: „— Nie pomogły namowy, został na miejscu. A wraz z nim kilku jego najbliższych zostało też. Dobre, owszem, i dzielne chłopaki, ale cóż..."

Tak. W małej chacie na skraju wsi wywiązała się nierówna walka — wygrzani, wypoczęci, odkarmieni i po zęby uzbrojeni esesowcy zaatakowali całą kompanią tych kilku zziębniętych, obolałych i głodnych chłopaków. A jednak partyzanci potrafili długo wytrzymywać ów piekielny napór tamtych. Bardzo długo. Mało — potrafili natarciem zmusić hitlerowców do ucieczki z najbliższych stanowisk. A potem walka przeniosła się w pole — i teraz wszystko już wskazywało na to, że się naszym chłopakom uda; że dotrą do pobliskiego lasu, torując sobie drogę pepeszami i granatami.

Mówili: „— Czuganin był ranny, mocno utykał, tośmy go chcieli osłaniać. Ale on... rozkazał, żebyśmy się wycofali pod jego osłoną. I tak ono i było!" Mówili: „— Już zdołaliśmy pokonać golutką przestrzeń pól, już byliśmy na skraju lasu, a on, jak to on, przystanął nagle, odwrócił się, psiakrew, i, całutki stojąc, rzucił przed siebie bardzo daleko granat. I wtedy zginął. Prościutko w czoło dostał. I zwalił się powoli. A jakże, tak jako i stał, z tą uniesioną ręką". Mówili: „— Skoczyliśmy po niego i powlekli w las. Ale przyszło nam go już tylko pogrzebać, tam w lesie. Wraz z owym niebieskim szalikiem".

Wojenna miłość Barbary i Czuganina jest taka sama, jak wiele wojennych miłości, to prawda. Może nawet inne wojenne uczucia zastygły w bardziej tragicznym kształcie, może przerywały je bardziej okrutne okoliczności, ale mnie tkwi w pamięci właśnie ta — zamordowana miłość Barbary, zamordowana miłość Czuganina.

Po trzydziestu latach odwiedziłem tamte strony; i znowu szedłem ową znaną mi dobrze leśną drogą, gdzie Czuganin poznał Barbarę, szedłem przez ten mój, ongiś opiekuńczy las, i przywoływałem przeszłość.

Kępka dorosłych brzóz... trawa i kwiaty... Wciąż idę skarpą, wciąż jawią się wspomnienia, jedne gasną, inne się zapalają i znowu ustępują miejsca następnym — przytłaczają swoim ciężarem, swoją dziką namiętnością, a ja nie bronię się przed nimi, pozwalam, by przychodziły, pozwalam, by się mocno zbliżyły, wygadały — „niechaj się wyspowiadają z wszystkiego, wyżalą się z tego, co wiedzą i pamiętają o sobie w mojej pamięci" — i czuję, że wstąpiła we mnie i jest we mnie duma — rozpierająca, ale żałosna, naznaczona jakimś cmentarnym ciężarem... Krzyże i mogiły, mogiły i krzyże — „pogrzebana „wielka i ważna część mojego życia, które wciąż jeszcze noszę w sobie. Wiem! ze wspomnieniami o tych, co odeszli, jestem żywym cmentarzem".

Powyższe fragmenty pochodzą z ostatniej powieści Stanisława Glinki zatytułowanej „Ludzie i pomniki".

DUNAJEC 3

WIOSNA I WOLNOŚĆ

Czyż wiosna nas nie uskrzydla, nie wzbudza naszych tęsknot za swobodą, niezależnością, nieskrępowaną wędrówką gdzieś w dal? Wszyscy odpowiemy, że tak; że prawdziwe jest poetyckie porównanie wiosny i wolności do siostrzanych ptaków. Uznaliśmy więc, że to dobra pora, by przedstawić wybór myśli na temat wolności; myśli ludzi z różnych epok i o różnych przekonaniach; słów poetyckich i filozoficznych.

Na pewno nie jest to wybór doskonały, ale ma chyba szansę spełnić pewną rolę: pomóc w zastanowieniu się, czym naprawdę jest, czym może być wolność. To problem aktualny zawsze.

Wyboru dokonał **Jerzy Leśniak**

Pierwszym aktem wolności był odruch nieposłuszeństwa: zerwanie owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego.

(Erich Fromm)

Wolność to uświadomiona konieczność.

(Karol Marks)

...Nad błask błyskawic ostrzejszy twój wzrok,
Nad chód trzęsień ziemi straszniejszy twój krok,
Zagłuszasz ocean, gdy ryczy wód zwał,
Wulkany zaćmiewa źrenicy twej strzał,
Przy tobie się zdaje krąg słońca iskrzący
Jak ognik po bagnach błądzący.

(Percy Bysshe Shelley)

Bóg, który tobie oddał mnie w niewolę,
Pytać zakazał, co pani ma czyni:
Śmiałbym nad tobą sprawować kontrolę?
Wasal – rachunku żądać od władczyni?
Ach, cierpieć jeno mi pozwól milcząco
I być cierpliwym, i tłumić cierpienia –
A twych wywczasów, wierzaj, nie zamącą
Żadne wyrzuty, żadne oskarżenia.
Czyń, co ci miłe, i bądź, gdzie ci milej,
Tak swym pragnieniom folguj lub inaczej;
A jeśli zbłądzisz – i to twój przywilej –
Sama sądź winy i sama wybaczaj.
Żyję, by czekać – choć piekłem czekanie,
Złych zaś czy dobrych twych zabaw nie zganię.

(58 sonet Szekspira)

Im częściej bywa więcej uwstręconą wolność opinii jawnie i swobodnie wyrażanej, tym głębszej, donioślejszej i bardziej piorunnej siły nabierają przemilczenia, niedopowiedzenia, mgnienia powieki, chrząknięcia i kichnięcia.

(Cyprian Kamil Norwid)

*

Ten tylko osiągnie wolność, kto każdego dnia idzie o nią w bój.

(Johann Wolfgang Goethe)

*

Wolność jest to żyć równym wśród równych, jest to możność niekłaniania się nikomu i nigdy, nieudawania, nieuniżania się, nieodczuwania przed nikim strachu, jest to możność zostania tym, czym się chce, możność sięgania po wszystkie zaszczyty i wszystkie prawa życia... Pewność jutra, pewność należnych mi zasług.

(Wacław Sieroszewski)

Największym ograniczeniem wolności człowieka i tak jest przemijanie.

(św. Augustyn)

Wolność to prawo czynienia wszystkiego, na co ustawy pozwalają.

(Charles Louis Montesquieu

*

Wolność opinii i jej wyrażania jest konieczna dla duchowego szczęścia ludzkości — choćby dlatego, że jeśli zmusza się jakąś opinię do milczenia, to nie można być pewnym, że nie jest ona prawdziwa. Zaprzeczać temu oznacza zakładać swoją własną nieomylność.

(John Stuart Mill, radykalista angielski)

*

Wolność polega na — opartej o zrozumienie przyrodniczych konieczności — władzy naszej nad nami samymi i nad przyrodą zewnętrzną, jest więc koniecznym produktem rozwoju historycznego. Pierwsi ludzie wyodrębniający się ze świata zwierzęcego byli pod wszystkimi względami niewolni jak same zwierzęta; ale każdy postęp kultury był krokiem ku wolności.

(Fryderyk Engels)

Prawdziwa wolność polega na prawie czynienia tego, co jest zgodne z interesem publicznym.

(Karol Marks)

*

Każdy człowiek ma prawo czynić co chce — pod warunkiem, że nie naruszy takiego samego prawa innego człowieka. To jest właśnie wolność.

(Herbert Spencer, filozof i socjolog angielski, ewolucjonista)

*

Bez wolności politycznej nie do pomyślenia jest ani pełny rozwój sił wytwórczych we współczesnym społeczeństwie, ani politycznie uświadomiona, wychowana i zespolona masa proletariacka.

Wolność polityczna nie wybawi od razu ludu roboczego z nędzy, ale da robotnikom oręż do walki z nędzą.

(Włodzimierz Lenin)

*

Posłanie Ewangelii — co już dawno odkryli teologowie — jest radykalne i rewolucyjne. Ale to „odkrycie" dopiero teraz zdobywa popularność. Nauka chrystusowa zawiera w sobie ideę rewolucji w poszukiwaniu wolności. Jest to idea rewolucji totalnej, nie tylko rewolucji przeciw imperializmowi rzymskiemu i ustrojowi niewolniczemu, ale przeciw wszystkim przyszłym systemom wyzysku człowieka — od feudalizmu do imperializmu amerykańskiego. Cel, jaki wytycza Ewangelia, to nic innego, jak zbudowanie doskonałego społeczeństwa komunistycznego. Wynika to jasno ze wszystkich tekstów Ewangelii. Królestwo Boże albo królestwo niebieskie to nic innego, jak określenie doskonałego społeczeństwa, które należy stworzyć na ziemi.

(profesor Ernesto Cardenál, minister kultury Nikaragui)

Adam Ogorzałek

CO DALEJ?

Mówią jedni, że dzieje się Sodoma i Gomora, ale że to się szybko skończy i wszystko wróci do starego. Miało już kilkakrotnie wrócić i mawcy nawet terminy wymieniali. Fałszywe.

Mówią drudzy: że wszystko jeszcze za mało, więcej potrzeba. Zbyt wolno się posuwamy naprzód, a czas nagli.

Obie postawy są niebezpieczne. Jednych dlatego, że z całych sił hamują, a więc utrudniają szybką konsolidację. Drugich dlatego, że swą niecierpliwością karmią ekstremistów, którym nie po drodze z socjalizmem, w żadnym wydaniu. Zróbmy więc szybki bilans, by zobaczyć jak naprawdę stoimy u progu przedwiośnia.

Oto próbka rzeczowej, wolnej od patosu, publicystyki naszych dni. Konkretnie: tak rozpoczyna swe refleksje o sprawach dziś najpilniejszych Stanisław Brodzki.

Każda epoka miała swoich zbuntowanych, występujących przeciwko niesprawiedliwym ustrojom, despotyzmowi i głupocie władców, ograniczeniom doktryn. Nazywano ich rebeliantami, odszczepieńcami, heretykami, a od pewnego momentu — rewolucjonistami. Dzięki nim dokonywał się postęp społeczny. Wadzili się z zastanym światem nie dla zaszczytów i korzyści materialnych, ale dlatego, że właśnie postawa buntownicza wobec bezprawia i przesądów wydawała się im najpiękniejszym sposobem bycia człowieka. Nie było takich razów, których oszczędziłaby im historia, ale też nie było klęsk, po których nie podnosiliby się jak feniks z popiołów.

Władcy nie zawsze byli przeciwko Modrzewskim, Kopernikom, Kołłątajom, Staszicom, Sciegiennym i Waryńskim. Czasem otaczali życzliwością i łaskami niektórych mędrców i wizjonerów, wcielali w życie ich idee, bowiem rozumieli, że o dynamice rozwoju społecznego decyduje myśl śmiała, a nie przyzwalność i konformizm. Częściej owo zwrócenie się w stronę mężów światłych dyktowane było wyrachowaniem i chytrością obliczonymi na spacyfikowanie zarzewia buntu. Najczęściej jednak bywało zupełnie inaczej: terror i bezpardonowa przemoc stawały się „argumentami" władzy wobec nowatorów.

Z sojuszu najświatlejszych wynosiło z tymi, którzy nie mieli nic do stracenia oprócz swych kajdan, zrodził się socjalizm.

Te słowa są starszej daty. Pisałem je po Grudniu. Ale następowało po nich pytanie, którego i dziś nie unikniemy: co dalej?

Wtedy odpowiedź wydawała się prosta: **musimy zruchomić sojusz wszystkich wartościowych, twórczych sił narodu do wyścigu z czasem. Wydłużaliśmy właśnie krok, mówiliśmy prawdę, szukaliśmy rezerw.**

Dziś taka odpowiedź nikogo nie zadowoli. Po pierwsze — wiele słów się zdewaluowało, ludzie żądają gwarancji. Po drugie — żyjemy w zupełnie innym społeczeństwie. Ta inność to przede wszystkim suma goryczy i większa wiedza o mechanizmach życia zbiorowego. Inny jest również krajobraz ojczystego kraju: niezależny ruch związkowy, aktywizacja różnych organizacji, odrodzenie samorządności, kiełkująca reforma gospodarki, poszerzenie wolności słowa, rozbudzone aspiracje i nadzieje. Sporo jak na kilka miesięcy. Kruche to wszystko jeszcze, ale istnieje, jest faktem, może być dobrym punktem do wyjścia z kryzysu.

Co zatem — dalej?

Podzielam pogląd tych, którzy perspektywy pomyślnego rozwiązania naszych polskich spraw wią-

– DWA PTAKI SIOSTRZANE

Życie jest nieustannym zawieszeniem pomiędzy wolnością a niewolą. Wolności nie ma; wolność się tylko przez chwilę odczuwa.

(Albert Camus)

Wolność to nie samowola, lecz szansa bycia sobą; to nie klębowisko pożądań, lecz delikatnie wyważona struktura, która w każdej chwili spotyka alternatywę: wzrost — czy rozkład, życie — czy śmierć.

(Erich Fromm)

Nie mogę zrozumieć, co to jest wolność dana mi przez wyższą istotę. Znam jedynie wolność umysłu i działania. Jeśli absurd przekreśla wszystkie moje szanse na wolność wieczną, zwraca mi i wynosi wysoko moją wolność działania. To pozbawienie nadziei i przyszłości oznacza wzrost możliwości człowieka. Nie ma jutra. Oto przyczyna mojej głębokiej wolności.

(Albert Camus)

Ludzie rodzą się i pozostają wolni i równi w swych prawach (...) Celem każdego związku politycznego jest zachowanie przyrodzonych i nieprzedawnionych praw człowieka: WOLNOŚĆ.

(Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela — 1789)

Prawo do wolności przekonań i wypowiedzi obejmuje wolność posiadania niczym nie skrępowanej opinii oraz wolność poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania informacji i poglądów wszelkimi środkami, bez względu na granice.

(artykuł 19 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, uchwalonej w 1948 roku przez Zgromadzenie Ogólne ONZ)

Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji. Urzeczywistnieniu tej wolności służy oddanie do użytku ludu pracującego i jego organizacji drukarni, zasobów papieru, gmachów publicznych i sal, środków łączności, radia oraz innych niezbędnych środków materialnych.

(artykuł 83 Konstytucji PRL)

Wolność uzewnętrzniania wyznania lub przekonań może podlegać jedynie takim ograniczeniom, które są przewidziane przez ustawę i są konieczne dla ochrony bezpieczeństwa publicznego, porządku lub moralności publicznej albo podstawowych praw i wolności innych osób.

(artykuł 18 ust. 3 Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka, uchwalonych w roku 1966 i ratyfikowanych przez Sejm PRL)

Działalność radia i telewizji oraz prasy i wydawnictw powinna służyć wyrażaniu różnorodności myśli, poglądów i żądów. Powinna ona podlegać kontroli społecznej...

(fragment punktu 3 Porozumienia Gdańskiego z 31 sierpnia 1980 roku)

WOLNOŚĆ KONTESTACYJNA

Hej matki, ojcowie,
Jak długi nasz ląd,
Zrozumcie: potępiać
Nieznane – to błąd.
Synowie i córki
Rzucają wasz dom,
Stara droga
Prowadzi donikąd.
Weźcie precz waszą dłoń,
Zbyt osłabła, by nią
Schwytać ogrom czasów tak zmiennych.
Już prosty kierunek,
Już hasło swe znasz.
Co dzisiaj powolne,
Przyśpieszy swój marsz,
Co będzie – przeminie,
W mrok schowa swą twarz,
Wolność zburzy
Ład stary niechybnie.
I co pierwsze jest dziś
To ostatnim ma być
Z mocy czasów, co wciąż są zmienne.

(Bob Dylan)

Wolałbym być wróblem, niż ślimakiem,
Wolałbym być młotem, niż gwoździkiem,
Wolałbym,
Gdybym mógł wybrać,
Wolałbym na pewno.
Gdybym mógł, pożeglowałbym daleko,
Niczym łabędź, co przybywa i znika.
Bo człowiek przykuty do swojego miejsca
Przynosi światu najsmutniejszy ton,
Najsmutniejszy ton.
Wolałbym być lasem, niż ulicą,
Wolałbym czuć wolną ziemię pod stopami,
Wolałbym,
Gdybym mógł wybrać,
Wolałbym na pewno.

(Paul Simon – słowa do ballady ludowej Inków peruwiańskich „El Condor pasa")

Uczuć prawdziwej wolności
Nie znają ludzie dorośli;
Jest to przywilej dzieciństwa.

(James Matthew Barrie – „Piotruś Pan")

Wolność odpowiada głębokiemu i powszechnemu dążeniu współczesnego świata. Natura wolności to zarazem korzeń i owoc pokoju. Istota wolności tkwi we wnętrzu człowieka, należy do natury osoby ludzkiej i jest jej znakiem rozpoznawczym. Człowiek jest wolny, ponieważ posiada zdolność opowiedzenia się po stronie prawdy i dobra. Być wolnym to móc i chcieć wybierać: to żyć zgodnie ze swym sumieniem. Wolność jest miarą dojrzałości człowieka i narodu. Bez poszanowania wolności człowiek nie utrzyma pokoju.

(z orędzia Jana Pawła II na XIV Światowy Dzień Pokoju 1 stycznia 1981 roku)

Czy wolność może stać się ciężarem zbyt wielkim, by człowiek mógł go udźwignąć, czymś, przed czym usiłuje on uciec? Jak więc się to dzieje, że dla jednych wolność jest wymarzonym celem, a dla innych zagrożeniem?

(Erich Fromm)

żą z sytuacją w partii. Idzie zarówno o wewnętrzne przeobrażenia w PZPR, jak i o nowe jej usytuowanie we froncie postępowych sił narodu, o jej związki ze społeczeństwem i rolę w państwie. To jest kluczowa kwestia, która warunkuje dalsze losy procesu powszechnie nazywanego odnową. Kto tego nie rozumie, kto uroił sobie, że wyimpasuje partię z roli kolektywnego przywódcy budownictwa socjalistycznego, ten zachowuje się jak pies ogrodnika, który sam nie zje i innym na to nie pozwala.

Nie wystarczy mówić o dialogu jako o sposobie osiągania porozumienia i sprawowania władzy. Takie mówienie jeśli będzie nieszczere, jeśli stanie się tylko słowną dekoracją, maskującą rzeczywiste zamiary konkurowania z partią w walce o władzę, doprowadzi do kresu proces zaczęty w Sierpniu. Dwuwładza — przed którą ostrzegają obserwatorzy polskiej sceny politycznej — nie jest po prostu możliwa, gdyż oznacza *„koniec dialogu i porozumień, nawet gdyby on jeszcze trwał, a one dalej były zawierane"*. Napisał te słowa Jerzy Urban po zajściach bydgoskich, ale równie dobrze mógłby je wyartykułować ktoś, kto słuchał ultimatum premiera w Sejmie, a później dowiedział się, że w Gdańsku — na związkowym forum! — nie ma jednak pełnej akceptacji dla platformy przyjętej przez Sejm, bądź też, że jest ona obwarowana dodatkowymi warunkami.

Wołanie niedawne o dwumiesięczne zrezygnowanie ze strajków jest papierkiem lakmusowym dla prawdziwych intencji związkowego partnera, jest to wymóg polityczny i tak powinien być potraktowany. W przeciwnym wypadku szkoda czasu na rozważanie: co dalej?

Pozostańmy wszakże przy tej właśnie ewentualności, przy założeniu, że partner lojalnie dotrzyma słowa zadeklarowanego w swym statucie i wielokrotnie później powtórzonego. Otóż w takim przypadku partię czeka w okresie przed nadzwyczajnym Zjazdem, na samym Zjeździe i potem również — energiczny wysiłek, by zdemokratyzować formy i metody przewodzenia.

Wewnątrz partii sprowadzałaby się ta orientacja do zasypania wyrw między kierownictwem a masami członkowskimi, do położenia równie mocnego akcentu na oba człony formuły centralizmu demokratycznego. Oczywiście oznacza to: jawność życia politycznego w stopniu wyższym niż dotąd praktykowany. Także: demokratyczny sposób wyłaniania władz wszystkich szczebli. Rotacje kadr. Pielęgnowanie prawa do krytyki. Wysokie wymagania moralne. Uwzględnianie opinii podstawowych organizacji partyjnych przed podjęciem decyzji o charakterze strategicznym. Reagowanie na sygnały i ostrzeżenia idące z dołu, by nigdy już protest klasy robotniczej nie musiał szukać bezpartyjnych form ujawniania się i realizacji.

Wychodząc poza sprawy ściśle wewnętrzne: demokratycznie wyłoniony Sejm i rady narodowe, autentycznie samorządny model organizacji społeczeństwa od osiedla, wsi, zakładu pracy, poprzez stowarzyszenia, organizacje i związki, w których partia — autorytetem swych członków pomnożonym przez autorytet kolektywnej siły przewodniej – wytycza perspektywę, nie wyręczając i nie dublując ani rządu, ani organów przedstawicielskich, ani samorządu.

Gdyby nasze nadzieje ograniczyć tylko do tych paru wątków wybranych z dyskusji, jaka toczy się w kraju, to i tak okaże się, że jest to program najdalej idący, program sięgający bowiem reform politycznych w obrębie socjalizmu. Po wszystkich dotychczasowych kryzysach, jakie wstrząsały Polską Ludową, również następowały reformy. Tyle że cząstkowe i pozostawione w rękach wąskich elit. Dziś kiełkują już mechanizmy mające chronić prawo ludzi pracy do rzeczywistego wpływu na kształt i codzienne funkcjonowanie socjalizmu. Chronić nie w chwilach kryzysów, lecz zawsze.

Uruchomienie tych mechanizmów i ustawiczna troska, by rdza niepamięci znowu nie zakłóciła ich pracy — to podstawowy obowiązek partii. Kto wsłuchuje się w ton licznych dyskusji odbywających się w organizacjach podstawowych, ten przyzna, że współbrzmi on z oczekiwaniami całego społeczeństwa. Owo współbrzmienie jest naszą największą nadzieją i szansą. Pytanie o jutro jest pytaniem o zdolność partii do faktycznego przywództwa.

Jalu Kurek

GAWĘDA O KALOSZU

Nie jest to sprawozdanie z meczu piłkarskiego jakby można sądzić z tytułu. To zabawna historia autentyczna czyli felieton na wesoło.

Kiedy Niemcy w lutym 1945 roku uciekli z pewnej wsi podgórskiej, ludność miejscowa niezbyt szlachetnie uczciła ten fakt rozbijając nocą tamtejszy sklep i rabując dokumentnie wszystkie towary.

Idę ja nazajutrz raniutko oglądać pole bitwy, z którego Niemcy właśnie zwiali, aż tu nagle na śnieżno-błotnistej drodze wiejskiej widzę: leży pudło. Oglądam się dokoła, czy kto nie patrzy, nie ma w krąg żywego ducha, podnoszę pudło. Raz na tej wojnie coś zarobię, dotychczas tylko traciłem. A wojna się już właściwie kończy.

Trzymam paczuszkę pod pachą, zdejmuję delikatnie tekturowe wieczko, patrzę — w środku kalosze. Nowiuteńkie wewnątrz czerwono-pilśniowe, po wierzchu lśniąco-czarne. Doskonale! Przydadzą mi się w sam raz na tę wyboistą drogę, pełną kałuż. Ach co za szczęście!

Po uważniejszym wglądnięciu w pudło entuzjazm mój trochę zmalał. Okazało się bowiem, że oba kalosze były... z lewej nogi. Jakim cudem znalazła się ta niedobrana para w jednym pudle, nie umiem sobie wytłumaczyć. Może przy pakowaniu pomylono się w fabryce? Wojna jest, ludzie zdenerwowani. Bomby alianckie rżną po fabrykach, nic dziwnego, że można się pomylić przy pakowaniu. A może przy rozdrapywaniu towaru w sklepie nocą ktoś łapał po ciemku co mu pod rękę wlazło, namacał dwa kalosze, wsadził do pudła i kiedy się dopiero na drodze o świcie połapał, że oba z jednej nogi, wyrzucił je ze złości?

No, wszystko jedno jak się to stało, dość na tym, że zostałem szczęśliwym posiadaczem dwóch lewych kaloszy. Oglądam je miłośnie, chyba ze dwa numery za duże, ale wypcham je papierem, będą leżały jak ulane. Trochę martwiłem się prawym kaloszem (to znaczy tym lewym, który miał udawać prawy); jak ja go włożę na trzewik?

Ciężko wchodził, ale wszedł w końcu. Wbiłem go niejako; pomogła mi w tym okoliczność, że były to kalosze obszerne. Jak wszedł, już nie dał się zdjąć. Pomyślałem sobie: tę parę bucików odstawiam do kaloszy, będę je odtąd nosił tylko razem.

Z dziwnym uczuciem wyszedłem po raz pierwszy w kaloszach. Choć wieś, ale każdy mi patrzy na stopy; widać przecież, że oba kalosze lewe. Podśmiechują się do siebie znajomi jeden z drugim. Ja nic, paraduję z dumą w zdobycznym trofeum. Trochę nieswojo się czuję, bo ten „prawy" kalosz (który jest właściwie lewym) zawija stale na lewo; trochę go „znosi". Czubek kieruje mu się wyraźnie w lewo, charakterystyczny brzuszek kalosza jest również po przeciwnej stronie niż ma być. Nie ma co mówić, naturalna skłonność kalosza z prawej stopy jest lewa. Szanuję tę skłonność, bo sam zawsze miałem i mam przekonania lewe, chociaż (co tu ukrywać?) charakter mam prawy.

Zacząłem powoli, lecz konsekwentnie tępić, względnie łagodzić lewicowość w „prawym" kaloszu; to znaczy w lewym, który nawracałem na prawość, pamiętajcie, bo inaczej zgubię się w opowiadaniu. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Mówią, że jeśli długo zająca bić, nauczy się go grzecznie papierosa palić. A więc i ten wspaniały kalosz przyzwyczaił się do swej nowej roli. Przez uparty wielotygodniowy trening czubek zakręcał mu się delikatnie, lecz stanowczo na prawo, tak jak nim kierowała stopa. Już mu klęsła wypukłość po stronie wewnętrznej, za to wydymał się naturalny brzuszek z prawej strony. Byłem dumny, dokonałem rzeczy trudniejszej niż pogromca lwów: przekształciłem naturę rzeczy martwej, nieomal zmieniłem w niej płeć!

Nastąpił wyjazd do Krakowa. Przyjechałem do rodzinnego miasta w ponury, słotny dzień; zmizerowany po tułaczce wojennej. Oczywiście przyjechałem w kaloszach. Ten lewy, który był obecnie prawym, zachowywał się prawie normalnie. Jeszcze naturalnie — przy uważniejszym wejrzeniu — poznać było, że jest z przeciwnej nogi, to już mu pozostanie do końca; ale na ogół wykazywał tendencje prawicowe. Ciężka sytuacja wojenna, chodzi się w tym, co się ma. Wiele postradałem na tej wojnie, zarobiłem jedynie te kalosze. Więc ja wszędzie, rozumie się, w tych kaloszach...

Marzec 1945. Kraków pęcznieje ludźmi. Deszcz pada, błoto, tramwaje nabite pasażerami, tłoczno, tłoczno. Ja jadę, oczywiście w kaloszach. Wysiadam na rogu Karmelickiej, ale zawsze trochę potrwa, zanim się człowiek przepcha w tłoku do wyjścia. Już tramwaj ruszył, kiedy się wykaraskałem i siup w dół po stopniu. Ludzie dosłownie wypluli mnie z magla. Kiedy zeskoczyłem na jezdnię, poczułem dziwną lekkość i jakby ziąb w prawej stopie. Patrzę, a tu kalosza nie ma. Tego prawego. To znaczy tego lewego, który stał się prawym. Była taka gmatwanina nóg, gęste plątawisko butów, że w ścisku wydeptano mi siłą kalosz z trzewika, dosłownie wyłuskano go z nogi.

Rany boskie, a tramwaj już skręca pod Kapucynami! Jako wierny czytelnik „kryminałów" notuję szybko w mózgu: tramwaj nr 2, numer wozu przyczepnego 171, godzina 10.20 rano. Ściągam z nogi osierocony samotny lewy kalosz (autentyczny lewy), wsadzam go do teczki i wędruję pod Główną Pocztę. Tam siedzi w budce dyżurny tramwajarz. Zwierzyłem mu się z mojego przypadku, uspokoił mnie rzeczowo:

— Niech pan sobie już z tym da dzisiaj spokój. Tramwajarze to uczciwi ludzie. Jeśli tylko oddano im kalosz, to go pan otrzyma z powrotem. Chyba, że ktoś z pasażerów wziął sobie na pamiątkę. Niech pan jutro przyjdzie do remizy tramwajowej na ulicę Wawrzyńca. Tam jest biuro znalezionych rzeczy.

Tej nocy spać nie mogłem. Przed oczyma jawił mi się kalosz zgubiony, kalosz siłą oderwany ode mnie, kalosz prawy, który był właściwie lewym. Żegnaj, kaloszu! Tyle się koło ciebie napracowałem. Już nie będziesz więcej tkwił na prawym moim bucie. Już nikt inny gwałtu ci więcej nie zada. Znajdziesz właściwe swoje miejsce przeznaczenia: stopę lewą. Nie będziesz musiał dłużej ukrywać naturalnej płci. Oby ci była lekką ziemia, po której będziesz stąpał!

Nazajutrz rano jadę tramwajem do remizy. Pytam gdzie biuro znalezionych rzeczy.

— Pójdzie pan prosto, później w prawo, skręci pan korytarzem, dwa schodki na lewo, jeszcze raz w prawo, prosto i z podwórza pierwsze drzwi.

Znalazłem. Pukam. Wchodzę. Wąsaty tramwajarz siedzi, czyta gazetę. Wielkie nieba! Bądźcie pochwalone! Na biurku jak byk leży mój kalosz! Wewnątrz — biała karteczka. Łapię za kalosz bez pytania.

— Dzień dobry panu. Ja właśnie przyszedłem po ten kalosz. Zgubiłem go wczoraj w tramwaju.

Gospodarz wydziera mi kalosz z ręki i gasi moje wzruszenie oficjalnym głosem:

— Zaraz. Powoli. Co pan zgubił?

— Ten kalosz, co go pan trzyma w ręce.

— To pański kalosz?

— Tak, mój, poznaję go. Po ciemku bym go poznał.

Uśmiecham się do mojej wizji; tramwajarz nie wie dlaczego. Nie wie, że takiego drugiego kalosza nie ma na świecie. I nie będzie. Wąsacz bierze karteczkę z głębi kalosza, nasadza na nos okulary.

— Kiedy pan zgubił? Gdzie? W którym tramwaju?

— Wczoraj dnia tego a tego, o godzinie 10.20 w wozie przyczepnym numer 171 linii numer 2 na przedniej platformie, przystanek na rogu Karmelickiej — recytuję jednym tchem.

Rozmówca mierzy mnie surowo od stóp do głowy i zapytuje:

— A gdzie pan ma drugi kalosz z tej pary?

Struchlałem. Nie przyszło mi to na myśl. — A po co to potrzebne?

— Czy pan z byka spadł? My tu takich gości mielibyśmy więcej, co przyjdą i powiedzą: to mój kalosz. Trzeba to udowodnić.

— Przecież chyba nie wyglądam na kolekcjonera pojedynczych kaloszy.

— A licho wie! Ja pana nie znam. Więc pan przypuszczasz, że kiedy ktoś przyjdzie mi do biura i powie, że zgubił kalosz, to ja mu w te pędy od razu kalosz wydam? He, he, he, panie, to by się tu drzwi nie zamykały, miałbym klientów od rana do wieczora; co by tu przychodzili po nieswoje rzeczy. Chyba pan masz olej w głowie. Sprawa jest prosta, nie ma co gadać po próżnicy. Mnie nie wolno wydać panu kalosza, chyba wtedy jak pan przyniesie drugi i wtedy porównamy, zobaczymy, czy pasują do siebie, czy są z jednej pary. Wtedy pan swoją zgubę otrzyma.

Patrzy na kalosz spod okularów i oświadcza urzędowo: — To jest kalosz lewy. Jeśli mi pan przyniesie do sprawdzenia prawy kalosz, to ja wydam panu ten zgubiony lewy.

Jezus Maria! Jestem zgubiony z kretesem, tak jak mój nieszczęsny kalosz. Łza zakręciła mi się w oku, obróciłem się na pięcie i wyszedłem. Przecież mu nie powiem, że to jest kalosz „prawy", a ja w domu mogę przynieść do pary tylko lewy, bo mi nie uwierzy, bo mnie weźmie za wariata albo za oszusta. Faktem było przecież, że kalosz był lewy, a tylko mnie służył za prawy. Płci fabrycznej z kalosza nie zedrzesz. On tylko na stopie mojej, na bucie nabierał prawicowych właściwości, odarty zaś z kształtu, który go wypełniał, obnażył swą niewątpliwą postać, która była lewą.

Bądź zdrów, kaloszu! Służyłeś mi wiernie przez parę miesięcy. Było mi z tobą dobrze. Już cię nie odzyskam, ponieważ nikt mi nie uwierzy, że jesteś dla mnie prawym. Bo jesteś lewym. I rozstaniemy się na zawsze z tą tajemnicą.

Ale tramwajarze mają poczucie humoru, bo kalosz odzyskałem po kilku dniach. Co prawda dzięki protekcji; rzecz oparła się o dyrekcję. Było przy tym trochę śmiechu.

Droga Redakcjo,

muszę Ci się zwierzyć, Kochana Redakcjo, bo już naprawdę żywcem nie wiem, komu mam się zwierzyć i dostaję z tego wszystkiego okropnej kołowacizny; nikomu o tej idiotycznej sprawie pisnąć nawet nie mogę, żadnej koleżance ani znajomej, bo przecież nikt mnie nie zrozumie na tym Bożym świecie — więc może Ty, Kochana Redakcjo, wysłuchasz mnie i coś poradzisz, bo jak nie, to już naprawdę nie wiem, chyba któregoś dnia zacznę wszystkich kąsać jak wściekły pies i łapiduchy odwiozą mnie do Kobierzyna w kaftanie bezpieczeństwa, albo co? Myślisz może, Kochana Redakcjo, że takich listów dostajesz na kopy i już Ci się zdaje, że jeszcze jedna głupia gęś z dzieckiem w brzuchu nie ma się komu wypłakać, albo kolejna żona pijaka się skarży, albo poniewierana matka—staruszka. Otóż nic w tym guście; jestem spokojną, zrównoważoną kobietą w średnim wieku, a sprawę mam taką, o jakiej Kochana Redakcjo chyba jeszcze nie słyszałaś. Ale mimo to nie tracę nadziei, że mi pomożesz.

Proszę Cię, Kochana Redakcjo, o przeczytanie mojego listu do końca. Postaram się opisać wszystko najlepiej jak potrafię, szczerze i prawdziwie, chociaż będzie to chyba wyglądać jak pomieszanie z poplątaniem, bo sprawa jest rzeczywiście nie z tej ziemi.

Mam trzydzieści osiem lat, z zawodu jestem dentystką, mam prywatną praktykę, dobrze wyposażony gabinet, dużo zarabiam. Mąż mój jest magistrem inżynierem, pracuje w wielkim zakładzie przemysłowym na kierowniczym stanowisku i też sporo zarabia. Mamy dwoje dzieci, niebrzydką willę, samochód, urlopy spędzamy za granicą, ludzie nam zazdroszczą. Jestem tą, której się powiodło. Ale, Kochana Redakcjo, życie moje stało się gehenną z powodu ojca wariata, którego kocham i szanuję, ale którego już dłużej znieść nie mogę.

Ze trzy lata temu będzie, jak moja mamusia, zamieszkająca na wsi, zmarła i zabraliśmy tatusia do nas. Dostał ładny pokój na pięterku, z balkonem, urządziliśmy mu mały warsztat w piwnicy, bo mój tatuś to pies na robotę, że tak się wyrażę, i chwili spokojnie nie usiedzi. Zajął się ogródkiem, warzywa posadził i posiał, kwiatki na balkonie wyhodował, w całym domu szafki porobił, różne półeczki i wieszaczki, z dziećmi bardzo lubi się bawić albo na spacery chodzić. Bo mój ojciec, to człowiek o złotym sercu.

A wkrótce potem rozchorował się teść, mieszkający samotnie w Krakowie, więc także zabraliśmy go do siebie. I od tego czasu datuje się moja wyżej wspomniana gehenna.

Ponieważ ja, Kochana Redakcjo, jestem pochodzenia chłopskiego, tatuś przed wojną był fornalem, a po wojnie gospodarzem średniorolnym, zaś mąż mój pochodzi z inteligencji pracującej. To się tak oficjalnie nazywa, ale w rzeczywistości teść był obszarnikiem czyli dziedzicem, a dopiero po wojnie został chcąc nie chcąc inteligentem, pracował w biurze, bo do niczego innego się nie nadawał. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest on głupim człowiekiem, jak najbardziej nie. Jest kulturalny, zna obce języki, bywał we Francji, Włochy zna, Anglię zna, a nawet całe stronice poematu „Pan Tadeusz" potrafi z pamięci zarecytować, fakt.

Teść dostał pokój obok pokoju ojca, drzwi w drzwi. No, i się zaczęło.

Nie, nie pokłócili się bynajmniej i nie wszczęli mi w domu walki klasowej. Przeciwnie — całe nieszczęście polega na tym, że ojciec z teściem bardzo się polubili. Siadywali sobie całymi godzinami w ogródku i gawędzili. Ojciec wypytywał teścia, gdzie był dziedzicem, jaki miał majątek, ile ziemi, lasu, krów, koni, służby, jaki pałac; gadali tak sobie o swojej młodości, o wiejskich sprawach, przecież nie w tym złego, prawda? Miałam im zakazywać, czy co? Przeciwnie — cieszyłam się bardzo, że staruszkowie tak się zżyli. Skądże ja, biedna, miałam wiedzieć, co za gangrena z tego wyniknie?

No i któregoś dnia ojcu odbiło. Zaczął zwracać się do teścia „panie dziedzicu" albo „jaśnie panie" i zażądał, żeby do niego mówić „Julian". Niech Julian pójdzie, niech Julian zrobi. Tak właśnie, nie inaczej. Teść obraził się, powiedział płaczliwym głosem, że wyprasza sobie takie insynuacje, że nie jest żadnym dziedzicem ani tym bardziej jaśnie panem, wychowanie odebrał demokratyczne, pańskich fumów nie miewa i czuje się głęboko dotknięty niesprawiedliwym i krzywdzącym zarzutem.

Antoni Kroh

Jak uciec

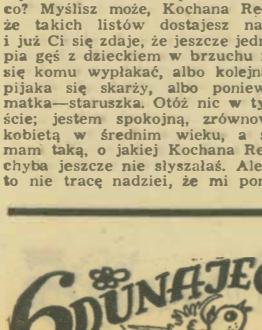

TADEUSZ SCHIELE — taternik, pilot czasu wojny, odznaczony między innymi krzyżem Virtuti Militari, jest członkiem Aeroklubu Tatrzańskiego. Oto jedno ze wspomnień Schielego, zapisanych w wydanej przed rokiem jego kolejnej książce zatytułowanej „Wspinaczka po chmurach".

Tadeusz Schiele

NA TATRZAŃSKIEJ FALI

Wiatr rozhulał się niespodziewanie o świcie i hyr o fali nie zdołał jeszcze roznieść się po kraju. Na lotnisko przyjechałem wcześniej niż zazwyczaj, zastając zamknięty hangar i spokój. Normalnie o tej porze przygotowania do lotów są już w toku. Tym razem samotny na wieży zawiadowca, Michał Felkerzam, rozmawiał właśnie przez telefon. *Tak... wieje u nas czyste południe... na Kasprowym 22 metry, w porywach do trzydziestu... czekamy, aż się trochę uspokoi, bo nie można otworzyć hangaru, normalnie w takiej sytuacji mamy lekki wiaterek wschodni, a dzisiaj...*

Na dole inżynier Ruge także kończył rozmowę telefoniczną. — *Dzwonią z całej Polski* — uśmiechnął się — *tylko patrzeć, jak zwali się nam hurma łowców diamentów. Będziemy mieli robotę.*

Do pokoju wszedł instruktor Wójtowicz i podeszliśmy do okien, poza którymi rozpościerała się panorama Tatr. Ciekawa fala. Lotnisko i najbliższa okolica na wschód i zachód nakryta była szarą czapą chmurną, urywającą się wyraźną krawędzią może ze trzy kilometry na południe, krawędzią obrzeżoną strzępiastą firanką ruchliwych mgiełek — co nieomylnie zdradzało drugą falę.

Tu, na tej krawędzi musi nosić jak choleca! Od następnego, nieco jaśniejszego pasma chmur rotowych, zalegających mniej więcej nad Zakopanem, dzieliła obie warstwy wolna przestrzeń. Zupełnie daleko nad górami aż kłębiło się od groźnych chmur różnego rodzaju i odcienia.

— *W tej chwili musi tam być prawdziwe piekło* — mówił inżynier. — *Przyszedł już ktoś?*

— *Chwilowo nie ma jeszcze nikogo* — odparł Wójtowicz.

— *Jak to nie ma?* — obruszyłem się żartobliwie — *a my to co?*

Przygotowałem się szybko. Spadochron, barograf, mapę, futrzaną czapkę i rękawiczki zaniosłem do „Muchy — Standard 2245". Drzemała w półmroku zatłoczonego hangaru, we flanelowym pokrowcu kabinki, jak w szlafmycy. Sprawdziłem ciśnienie dwu butli tlenowych. Nie za dużo, ale wystarczająco jak na drugą falę.

Po godzinie wiatr na tyle zelżał, że mogliśmy startować. „Gawron" zostawił mnie powyżej tysiąca metrów w silnym bezturbulencyjnym wznoszeniu na dobrze z lotniska widocznym brzegu chmurnej czapy, dokładnie nad Szaflarami. Po półgodzinnym trawersowaniu po prostej, wzdłuż ściany chmur odgradzającej od lotniska, na osi wschód—zachód od rzeki Białki, przecinając prostopadle Biały Dunajec i szosę zakopiańską, aż do rzeki Czarny Dunajec — w równomiernym wznoszeniu około 2 metrów na sekundę — znalazłem się pod pułapem, który nakrywał szarym sufitem prostokątny wycinek wolnej przestrzeni, bowiem od gór na południu przedzielała przeciwległa ściana chmur.

W niespełna 30 minut spostrzegłem „Muchę" na swojej wysokości w umówionym rendez-vous nad szosą zakopiańską.

Teraz lecieliśmy wspólnie, szeroką ławą, uwięzieni pod powałą chmurnej budowli, o posadzce kubistycznie inkrustowanej białymi plamami chmur. Odniosłem wrażenie, że latając tak przykładnie jak na patrolu, obaj czekamy na pierwszą okazję wyrwania się stąd, skoro tylko otworzy się wolna droga ku górom. A południowa ściana już zarysowała się jaśniejszymi pęknięciami i jak gdyby przerzedziła. Oba szybowce niespokojnie zakrążyły w pobliżu jaśniejącej części ściany, jak owady zaintrygowane światłem. Jeszcze minuta... dwie... i ukazała się cienka, podłużna szczelina, przez którą ujrzeliśmy niskie pasmo rotorowe nad Zakopanem i ośnieżone góry w słońcu!

W momencie kiedy chciałem zaproponować przeskok, odezwało się radio. *Mucha 59 do 45! Idziemy na pierwszą falę!*. Teraz oba szybowce pognały na południe w coraz szerszą szczelinę pomiędzy chmurami! Na pełny gaz! Kosztowało nas to przeszło tysiąc metrów, ale halny sowicie wynagrodził odważną szarżę wprost pod wiatr!

Odsłonił się przed nami iście bajkowy świat! W dole Zakopane do połowy nakryte kłębiastą pierzyną, nad Tatrami wielkie białe morze przelewające się chmurnym wodospadem. A hen w górze błękit rozmazany dwiema piętrowymi soczewkami. Podczas przeskoku „Mucha 59" wysforowała się nieco do przodu. Nagle wyrwała wysoko nad horyzont! Przez sekundę pomyślałem, że zamierza wykręcić triumfalną pętlę, ale już w następnej chwili i mnie uniosło w górę.

Fala! Doznałem aż oszałamiającego uczucia rzeczywistego unoszenia przez ogromną, niewidzialną falę powietrza. Ogarniała szybowiec zewsząd łagodnie, ale potężnie i niosła bez najmniejszego zakłócenia — zadziwiająca, wspaniała tatrzańska fala halnego wiatru!

Mozolne osiągnięcie szczytu niższej soczewki zabrało sporo czasu. Wznoszenie utrzymywało się w granicach zaledwie półtora metra. Byle się uczepić kolejnej chmury. Spoglądam w górę z zadartą głową dokładnie tak samo jak podczas wspinaczki, kiedy szukam dalszej drogi, zastanawiając się, czy „puści". Wyszukiwałem wzrokiem najdogodniejszego przejścia pod okap falistej chmurnej przewieszki piętrzącej się nade mną. Aby tego dokonać, będę musiał przedostać się ponad wolną przestrzenią, jak nad otchłanią wielotysięcznej przepaści, w kierunku rozrzedzonej zerwy kolejnego szarobiałego piętra widniejącego na tle intensywnego błękitu. Nagle, zaniepokojony, stwierdzam ze zdziwieniem gwałtowne oblodzenie osłony i ograniczenie widoczności. Co się dzieje? Tknięty złym przeczuciem spoglądam za siebie. Ciemnawo i szaro! A do diabła! Zagapiłem się w niebo i zepchnęło mnie, a raczej cofnęło do tyłu! W samą kopułę szczytową. Tyłem! O, to niehonorowo! Tak nie będziemy latać. Ale też nic dziwnego, skoro na szybkościomierzu było tylko 70 kilometrów na godzinę. Wstyd. A stale, po góralsku, powtarzam sobie, że z halnym nie ma śpasów.

Na dwukrotnie zwiększonej szybkości wydostałem się z lodowych oparów na czystą przestrzeń i zbliżyłem do odległego celu. Wykorzystując dwa metry wznoszenia skręciłem na zachód i kontynuowałem wspinaczkę. Czułem się już trochę zmęczony. Wkrótce okazało się, że druga soczewka jest bardzo blisko pierwszej, stanowiąc jak gdyby jej przedłużenie na południe. Tu w górze ciągle człowieka coś zaskakuje. Jak mogłem aż tak się pomylić w ocenie odległości? Ano, mogłem. Wróciłem na wschód, a wznoszenie zmalało do jednego metra. Dobre i to. Na 7100 metrów zrównałem się z poziomem rozrzedzonej chmury. Jeszcze trochę i mogłem ponad nią zobaczyć horyzont na północy!

Oddycham głęboko tlenem, jakbym rzeczywiście bardzo się zmęczył. Kabinka, w porównaniu do stopnia zalodzenia w pierwszej soczewce, wyraźnie odtajała, zachowały się na niej jedynie ładne, misterne wzorki lodowych igiełek, które nieznacznie tylko utrudniały obserwację.

Patrzę prosto w dół. Ciekawe, że na szlaku łańcucha Tatr wypiętrza się ponad płaszczyznę morza chmur aż tylo pojedynczych, strzelistych cumulusów. *Inwersja* — pomyślałem — i natychmiast uświadomiłem sobie, jak bardzo mi jest zimno, szczególnie w nogi. Pomimo to czułbym się zupełnie szczęśliwy, gdyby nie tlen. Wskaźnik ciśnienia był jeszcze dopuszczalny na tej wysokości, ale należało uwzględnić poprawkę na spadek ciśnienia w związku z niską temperaturą, a tu na pewno będzie ze 30 stopni minus. Nie ma co, wznoszenie i tak się skończyło. Na ostatek rozglądam się. Wyżej nie ma już chmur. Są gdzieś na horyzoncie i chyba znacznie niżej. A więc jestem na szczycie.

Uszy mam zupełnie zatkane i wszelkie zabiegi mało co skutkują. Ale raz po raz próbuję ziewać. Nie z nudów. Sceneria jest zbyt piękna. Nadlatuję właśnie nad długą warstwę, która przykrywa szczelnie widok ziemi. Nie martwi mnie to. Wiem dobrze, że nieco dalej na północ prędzej czy później odnajdę szeroką lukę w rejonie występowania drugiej fali. Powinienem być na osi Zakopane—Nowy Targ. Z przodu w dole otwiera się dziura, w której ukazuje się ziemia. Widać nitkę rzeki... Zaraz, jest szosa? Jest. Szaflary jak żywe.

Melduję powrót do lotniska. Komunikat brzmi stereotypowo, sucho, podczas gdy serce miałoby ochotę zawołać po taternicku: *Koledzy, wracam, byłem na szczycie!*

od tej historii?

Lecz sęk w tym, że ze strony ojca to nie były żadne zarzuty ani kpiny. On to mówił całkiem serio, fakt.

Z dnia na dzień atmosfera stawała się coraz cięższa. Na przykład pewnego ranka ojciec wziął cichcem buty teścia, wyczyścił, postawił teściowi pod drzwiami, a potem zażądał napiwku. Albo ni z tego ni z owego zaczął chodzić teściowi po gazety do kiosku. Pukał dyskretnie, wchodził do pokoju, kłaniał się w pas i oznajmiał: *„Trybuna Ludu, proszę łaski pana dziedzica, bo nic innego w kiosku nie było"*. Kawę rankiem w kuchni gotował i teściowi na tacy do łóżka przynosił. I wykłócał się o te napiwki zarzygane, przepraszam za wyrażenie. Ile było błagań, próśb, awantur, rozmów. A ten swoje. Ani gości do takiego zwariowanego domu zaprosić, ani samej w nim żyć. A już najgorsze były imieniny, moje albo męża; przecież, Jezu Nazareński, nie zamknę w komórce rodzonego ojca! Cierpiam ze strachu, fakt, że przez to swoje cholerne szlachectwo mąż będzie miał masę nieprzyjemności w pracy, bo jest dyrektorem i członkiem partii. Kochana Redakcja rozumie — żaden tam z niego marksista czy ideolog, jest po prostu technokratą, poza tym swoim wydziałem Kć świata nie widzi, a partyjnemu zawsze łatwiej różne sprawy przepchnąć, na przykład kooperanta obrugać albo części zamienne zdobyć. Próbowaliśmy tak i siak, teść wściekał się, błagał „a niechże Julian da pokój, przecie od trzydziestu kilku lat mamy Polskę Ludową, przecie tak nie można!" Mąż wrzeszczał na mnie: „no zróbże coś wreszcie z tym swoim tatuńciem, z tym pańskim fagasem!" — ale gdzie tam. Uparty, fornalski łeb — co raz weszło, tego i siekierą nie wytłuczesz. Wiele można by jeszcze opowiadać, papieru by nie stało... Kiedyś ojciec pojechał do miasta, do studenckiej spółdzielni, i wynajął studentów historii, żeby powypisywali z herbarzy co się da o przodkach mojego męża. Zapłacił jak za woły, przynieśli mu do domu całą kupę papierów, pewnie go oszukali, staruszka, bo jakże to możliwe, żeby jeden człowiek miał tylu przodków — ale ojciec wykuł tych wszystkich przodków na pamięć i palnął nam przy obiedzie taką mówkę, że teść tylko gały wywalał. Jakiś studencik wymalował ojcu na kawałku bristolu herb teścia, tak zwany Jastrzębiec — na górze ptaszek, na dole podkowa — i niechże sobie Kochana Redakcja wyobrazi, że ojciec wziął pod pachę ten obrazek, pojechał z nim do miasta i zamówił taki pierścień, co się nazywa sygnet. Dał go mężowi mojemu na imieniny. Niby że taka niespodzianka. Mój mąż nie jest żadnym barankiem, niestety, różne mi numery odstawiał przez te szesnaście lat małżeństwa — ale takiej awantury nie pamiętam, jak żyję. Zrobił się czerwony, a potem siny, krzyczał, żeby sobie ojciec ten sygnet za przeproszeniem w d... wsadził, ojciec chciał mu dać w gębę, zamachnął się, mąż się usunął, ojciec się przewrócił, zaczął płakać jak dziecko, o Jezu kochany, potem wstał i poszedł do siebie. Mąż ochłonął, pobiegł za nim, przepraszał długo, ucałowali się, a mój ojciec powiada: *„no, już dobrze, już dobrze. Więc przyjmij ten podarek i nie zapominaj, żeś polski szlachcic, a twój przodek w prostej linii okrył się chwałą pod Pskowem!"* Mąż zrozumiał, że już nie ma żadnej rady, że sam Pan Bóg zesłał na niego tę plagę, więc wziął sygnet i podziękował. Miał nadzieję, że będzie za duży albo za mały, ale gdzie tam, pasował jak ulał, a ojciec znowu się popłakał, tym razem z radości. Rankiem następnego dnia ojciec wstał wcześnie i zaczął się w garażu, a gdy mąż wyjeżdżał do pracy bez tego sygnetu na palcu, zaczęły się nowe pierepały.

Tak właśnie wygląda, naturalnie w wielkim skrócie, życie mojej rodziny w ostatnim półtoraroczu, Kochana Redakcjo. Mogłabym pisać o tym długo, ale i tak jest to najdłuższy list, jaki w życiu napisałam. Że nie wspomnę już o tym, jakie mam kłopoty wychowawcze z dziećmi, które zupełnie przestały nas słuchać, a dziadek pompuje im w głowy tę swoją szlachetczyznę. Kocham moje dzieci, męża, ojca, szanuję teścia, staram się łagodzić awantury, ale już sił mi brak. Jak uciec od tej historii? Chyba wniosę o rozwód, zabiorę dzieci i ucieknę z domu któregoś dnia. Ale, Kochana Redakcjo, ja bardzo źle znoszę samotność, a nie jestem już taka młoda, więc muszę bardziej o siebie dbać. Więc bardzo proszę, wydrukujcie przepis na dietę—cud i poradźcie, jak szybko usunąć zmarszczki, o co prosi Was stała czytelniczka

JOANNA S.

Baśń tylko dla dorosłych

NOWA LITERA

Było to w czasach, gdy niemożliwe stawało się możliwym. Ojciec Tomira, stary Strachota, szykował się do odejścia z tego świata. Żył długo, ale wcale nie szczęśliwie. Gdy śmierć wyliczyła mu już ostatni dzień słonecznego światła, ciasno i duszno zrobiło się w izbie od jego starych lat. Tłoczno też się stało od niespełnionych zamierzeń. Przybyły wszystkie w czarnych, żałobnych szatach. Strachota nie miał już siły przyznać się, że gdyby drugi raz się narodził, to ułożyłby swoje życie inaczej.

Tomir, którego do tej pory nieszczęścia ludzkie szczęśliwie omijały, patrzył na ojca z niedowierzaniem. Starał się zapamiętać i zrozumieć z trudem wypowiedziane przez umierającego słowa.

— Dobrze wiesz, że każdy człowiek nadaje inne kształty pisanym przez siebie literom i w tej odmienności wyraża sam siebie, własną inność, własną wolność, którą trzeba uszanować. Bądź zatem inny... Bądź nową literą w alfabecie. Albo przynajmniej piękną kropką nad wyrazem życie...

I Strachota odszedł w wieczny zmierzch. Po paru dniach smutku Tomir zaczął korzystać ze swobody, którą mu dała nieobecność ojca. Mógł wreszcie sprowadzić do domu Wlastymilę, która jawnie nosiła swoje strome piersi. Miłośnie uroczystowali się teraz przy słońcu i księżycu aż do sytego znużenia. Gdyby Strachota żył, nigdy by na to nie zezwolił, bo uważał, że nadmiar przyjemności należy od siebie daleko odsuwać. Tomir i Wlastymila byli przekonani, że należy czynić wprost odwrotnie.

— Chciał ojciec, obym nową literę w alfabecie życia stworzył, to ją właśnie rysuję — śmiał się Tomir i ustami gorącymi wodził po białych udach swej miłośnicy. — Piękna litera, prawda? A będzie jeszcze piękniejsza!

Wlastymila kładła głowę kochanka na skrzyżowaniu nóg i zapalała zielone światła. Światła swych wielkich oczu. I znikał zaraz smutny świat wokół i słychać było tylko zazdrosne szepty. Bo ludzie wiedzieli o Tomirze i Wlastymili. Niby nie widzieli, a patrzyli na nich ukradkiem, z ciekawością niezaspokojoną.

Gdy się zrobiły ciepłe dni nad prędkim Dunajcem, ruszył Tomir z wesołym miasteczkiem na wędrówkę. Chciał nieść wszystkim radość, może pragnął też narysować nową literę, jak życzył sobie ojciec. Choć Tomir udawał przed sobą, że nie pamięta prośby Strachoty.

Karuzele, strzelnice, gabinety śmiechu wyłożone lustrami — oto radość, którą można wepchnąć ludziom na parę chwil za pieniądze. Można też do takiego szczęścia przyzwyczajać dzieci.

— Kiedy dorosną, będą bardzo smutne — powiedział mu kiedyś młody brodacz, których teraz pełno było na świecie.

— Więc co mamy robić? — zakrzyknął Tomir. — Może z Wlastymilą jawnie kochać się na placach i rynkach, na leśnych polanach i zielonych łąkach? Żyć w domu bez dachu i ścian?

Lecz brodacz nie odpowiedział. Zniknął, jakby był duchem Strachoty. Dobrze, że Wlastymila nie miała takich zmartwień. Z radością zapalała swe zielone światła, gdy tylko zjawiał się przy niej Tomir.

— To są nowe litery alfabetu, głuptasku — mówiła szeptem. — Nie jedna! Dwie, trzy, cztery... — i pozwalała całować swoje oczy.

Cicho turkotały wozy wesołego miasteczka po naddunajcowych drogach. Tomir przez małe okienko spoglądał w ludzkie oczy. Zaczynał w nich dostrzegać radość, która była jak nowa litera alfabetu zwanego życiem.

EMIL BIELA

Zaprosili nas

● **Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa w Nowym Sączu na plenarne posiedzenie Rady Spółdzielni z udziałem przewodniczących rad spółdzielni podstawowych z województwa nowosądeckiego;**

● **Międzyspółdzielniany klub kultury „Lachy" w Nowym Sączu na program pt. „U nas jest to niemożliwe" w wykonaniu kabaretu „Za";**

● **Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Nowym Sączu i Krośnie na ogólnopolską konferencję popularno-naukową na temat „Organizacje młodzieżowe w systemie politycznym PRL — ich funkcje i zadania, a proces przeobrażeń społeczno-politycznych 1981";**

● **Sądeckie Towarzystwo Fotograficzne na otwarcie wystawy fotografii Witolda Górki i Stanisława Markowskiego „Gdańsk — sierpień 80".**

RUBRYKA ZBIGNIEWA SIATKOWSKIEGO

TEMPEROWANIE PIÓR

Z panią „Szarotką" chcę dziś porozmawiać o takiej kwestii jak **literatura w literaturze. O tym więc, co się dzieje, kiedy nie od przypadku, ale z autorskiej woli utwór literacki sycą się innymi utworami literackimi, wcześniejszymi. Kiedy z nich bierze swą osnowę, a czasem wręcz swą zamierzoną przez autora wartość.**

Tego rodzaju sytuacja może być oceniona przychylnie lub nieprzychylnie, może za dobrą lub złą uchodzić pod względem artystycznego skutku (bądź jeszcze fundamentalniej — pod względem uprawnienia artystycznego). Jedni powiedzą: aluzja literacka, poetyka nawiązań do tradycji, młode wino w starych dzbanach. Sam wielokrotnie pisywałem tak ku chwale różnych poetów. Lecz inni odhukną na to zaraz: wtórność, drugorzędność, brak walorów oryginalnych, cudze piórka; a kiedy się rozsierdzą, to i oskarżeniem o plagiat rąbną między oczy. „Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie" — jakie to wzniosłe i patriotyczne, że Mickiewicz pokłonił się Kochanowskiemu, jego fraszce pamiętnej, od razu w pierwszym zdaniu wielkiej opowieści o wielkiej utracie. Ale gdy Władysław Machejek swój najrozgłośniejszy felieton zatytułował *Smutno mi Boże*, by tuż poniżej jego tekst rozpocząć dopowiedzeniem „...gdy się spać położę" — to czy Machejkowa w tym subtelność pisarska dorównuje subtelności strof *Hymnu* o zachodzie śródziemnomorskiego słońca?

Skoro zatem na dwoje sława literacka wróży, jasne jest, że z odwoływaniem się do znanego dorobku poprzedników jak ze wszystkim w twórczości: twój, artysto, wybór — i ryzyko też twoje. Ani taka metoda w czarną czeluść nikogo nie wtrąca, ani też nie gwarantuje sukcesu automatycznego (bo takowy to w ogóle mit).

Zobaczmy na przykład wiersz Pani króciutki i bez tytułu. Jak setki innych obecnie, również on wiąże się z odnową. Ze stanem dzisiejszym Polski.

Los gra
melodię odnowień
na instrumentach zdarzeń
jak szaleńczy wiatr
wkną akordy w świat
jak wiatr
nieobliczalne.

Byśmy ten tekst za udany uznali, wiele mu jeszcze brakuje. Czwarty i piąty wers: niepotrzebnie są tak skoczne w jambicznym rytmie, w męskim rymie. Rym „wiatr" — „świat" wydaje się zbyt łatwy, zbyt oczywisty („Piosenkę niech wiatr poniesie przez świat", „Przez cały świat słowa pieśni tej niech niesie wiatr"), toteż i „szaleńczy wiatr" wygląda na błahy, łatwiusi przymiotnik, z krzywdą dla Pani intencji ideowej. Zresztą także para wyrazów „odnowień" — „zdarzeń", prawie rymująca się (a całkiem bez potrzeby) stanowi dźwiękową skazę tekstu Pani. Co większa, wątpię czy na miejscu jest tutaj słowo „akordy". Chciała Pani tak nazwać tony, dźwięki tamtej muzyki losu: nieobliczalne, dysharmonijne, oszalałe. No ale cóż po chęci, kiedy słowo „akord", w muzykologicznym sensie bodaj trafnie użyte, wywodzi się od francuskiego „accord" i znaczy: zgodność, zgoda, jednobrzmienie; bez mała solidarność. A w poezji bardziej liczy się przecież etymologia niż muzykologia. Szaleńcze akordy — to trochę tak jak czarny śnieg. Sprzeczność sama w sobie. Co prawda poeci nieraz robili z takich sprzeczności odkrywczy użytek (czarny śnieg we wstrząsającym żałobnym wierszu Majakowskiego). Jednak to wysoki lot już i kunszt niedebiutancki.

A te wątpliwości wszystkie drobniejszej natury dopiero otwierają drogę do głównego pytania „po co". Mianowicie po co w wierszu pani „Szarotki" figura stylistyczna z instrumentami i melodią? Dlaczego los miałby grać na instrumentach? Zbyt wątłe tu przecież okażą się odpowiedzi z prosta frant, że ot tak sobie najzwyczajniej, bo czemuż by nie, albo że poeta ma prawo do przenośni, do jej swobodnego wyboru. Wybrać bowiem dla wiersza odpowiednią przenośnię poeta ma nie tylko prawo, ma też i taki obowiązek. On musi ją wybrać, wyselekcjonować ją spośród wielu, wielu możliwych; i musi rządzić się w swym wybieraniu regułami artystycznej celowości. Jedna z tych reguł przestrzeże poetę, że jeśli postanowił użyć sposobu artystycznego znanego już z poezji dotychczasowej, to winien dać znać czytelnikowi, czym decyzja jest uzasadniona i do czego ma doprowadzić. Jaką wytworzyć wartość literacką.

Wszak dobrze znamy, polscy czytelnicy, tekst podobny do wiersza pani „Szarotki", a wolno nam zakładać, że ona go zna także, skoro to tekst arcypopularny i sprzed pół stulecia. *Grenada* Michała Świetłowa we wspaniałym Tuwimowskim przekładzie.

Lecz „Jabłoczko" szwadron
Wciąż grał bez wytchnienia
Na skrzypcach epoki
Smyczkami cierpienia.

Rosyjski oryginał jest zresztą jeszcze podobniejszy do tekstu pani „Szarotki", bo konsekwentnie używa liczby mnogiej: „Smyczkami stradanij Na skripkach wriemion". Czyli już nie tylko „skrzypce epoki", lecz wręcz „skrzypce czasów".

Coś niby zasłuchanie się w Świetłowa można więc zauważyć w wierszu pani „Szarotki"; że zaś wiersz zwięzły i owa muzyka „na instrumentach zdarzeń" (bądź „czasów") wypełnia go w całości, pytanie „po co" jest tym istotniejsze. Zależność poetycka? Wierna ufność wobec cudzego, wypróbowanego już sukcesu? Wygodnicka niechęć do ryzyka? A może najpospolicie: mechaniczne powtórzenie obcej kliszy, zapamiętanej od dzieciństwa — jakby takie zestawienie słów, taki obraz samemu się wymyślił? Wszystko to, co napisałem, brzmi jak zarzut i jak wyrzut. Przecież można jednak na przysłany nam wiersz inaczej spojrzeć. Owo klasyczne dzięki *Grenadzie* zestawienie słów odnosi się do lat rewolucji radzieckiej, opisuje sytuację rewolucyjną. Czyżby autorka analogię tu zamierzyła, czyżby o to jej szło, żeby swemu czytelnikowi podszepnąć chytrym kodem literatury, iż jest coś pokrewnego między dawnoczesnymi bojownikami z ukraińskich stepów a nami i naszym losem dzisiejszym? To by była koncepcja — jeśli tak było, jeśli trafnie odszyfrowujemy ideę „Szarotki". Jednak wtedy musi ujawnić się też wątpliwość. Uparty wysiłek, bitewny znój tamtego oddziału czerwonoarmistów, wiele ich kosztował i prowadził ku zwycięstwu przez częstą śmierć, ale nie przez rozterki ani grę przypadku. Wiedzieli czego chcą i cwałowali wprost ku temu. Tymczasem o „akordach" odnowy autorka pisze, iż są nieobliczalne. Ich wiatr — szaleńczy (co prawda w ojczyźnie „rozumnych szałem" to i nagana i arcypochwała równocześnie, znak solidarności). U Świetłowa żywioł kierowany wspólną wolą, tutaj kierujący zdarzeniami nieobliczalny los. Czy to wszystko nie nazbyt się poplątało? Albo autorka chciała użyć powtórzenia po legendarnie sławnej *Grenadzie* w imię swojej idei poetyckiej, niechże wtedy ta idea będzie wyraźna, a sens naśladowania dawnych mistrzów odczytywalny jednoznacznie; albo też nie chodziło jej o nic takiego, wtedy nie należało tykać cudzej literackiej własności. Napisałem na wstępie, iż brać nieswoje — to ryzyko. Tak jest, takie ryzyko nieporozumień.

Jaśniej, jaśniej, więcej światła myśli. Świat przekształcają na lepszy idee jasno sformułowane. A od jasnych idei również w wierszach jasno.

Za tydzień dalszy ciąg. Będzie tu o Czesławie Miłoszu i o Karolu Wojtyle — widzianych poprzez wiersze naszych korespondentów.

8 DUNAJEC

GALERIA TWÓRCÓW LUDOWYCH

Jakub Królczyk z Kluszkowiec

Jako dwudziestoparoletni chłopak, z zawodu kierowca i mechanik, pracownik polskich firm, zjeżdżił cały niemal Bliski Wschód. Widział Syrię, Irak, Jordanię, Egipt, Libię. Pojechał tam na zarobek, rzecz jasna — ale chyba przede wszystkim dlatego, by zaspokoić swe pragnienie poznawania i odkrywania świata, swą żądzę wrażeń, wiecznie nienasytą ciekawość. Przywiózł stamtąd wiele barwnych wspomnień, sporo zdjęć i przeźroczy a także początki jakiejś tropikalnej choroby, na którą cierpi do dziś dnia.

Lecz świat poznawać można także wówczas, gdy zdrowie nie pozwala na dalekie podróże. Również rodzinna wieś, każdy drobiazg, kolory nieba i lasu, pory roku, ludzkie twarze mogą być egzotyczne i piękne. Trzeba tylko mieć w sobie to „coś", czego nie da się ani kupić, ani ukraść, ani pożyczyć — trzeba po prostu to mieć. Mieć serce i oko artysty.

JAKUB KRÓLCZYK jest bardzo interesującym artystą, chociaż prace jego są nierówne, od wybitnych do słabych. Sam zresztą zdaje sobie doskonale z. tego sprawę. Wciąż szuka, wiecznie próbuje. Uprawia rzeźbę w drewnie, w glinie, snycerkę, malarstwo na szkle, na płótnie, na kartonie, olej i akwarelę, jest grafikiem — pewnie zapomniałem czegoś wymienić. Wciąż próbuje — od prac nawiązujących wyraźnie do tradycji sztuki ludowej do dzieł całkowicie samoistnych stylowo. Od tradycyjnych tematów sakralnych do aktów i orientalnych pejzaży, od alegorii i gry kolorów do publicystyki historycznej i społecznej.

Pierwszy raz oglądałem jego prace w 1972 roku. Były to lipowe, niemalowane figurki, przedstawiające Ukrzyżowanie, Frasobliwego i Chrystusa pod krzyżem. Takich drewnianych, niewielkich, białych figurek robiono wówczas setki i tysiące; ale prace Królczyka można było bezbłędnie wskazać spośród tłumu rzeźb w muzealnej sali. Na czym to polegało? Po prostu Królczyk miał to „coś". Nie umiem tego inaczej określić.

Potem bywałem u niego wielokrotnie, za każdym razem oglądając rzeczy nowe, zaskakujące, często ryzykanckie. Spróbował malarstwa na szkle; jego Madonny były jednocześnie ludowe i bardzo indywidualne, jednocześnie tradycyjne i współczesne. W rzeźbie pojawiła się tematyka okupacyjna, martyrologiczna, figurki swoje zaczął Królczyk polichromować.

Potem miałem okazję oglądać jego oleje i akwarele, całkowicie odmienne od prac z poprzednich lat.

Aż zdarzyło się nieszczęście — pracownia Królczyka spłonęła. Wiele prac i szkiców, zwłaszcza z najwcześniejszego okresu, uległo zagładzie.

Rozgoryczony biurokratyzmem i bezdusznością organizatorów wielkich, centralnych konkursów sztuki ludowej (kilkakrotnie jego prace zaginęły bądź zostały połamane i potłuczone), Królczyk przestał brać udział w masowych imprezach propagandowych, posiłkujących się sztuką ludową. Do rzeźby powrócił raz jeszcze, wykonując nagrobek swej matki na kluszkowieckim cmentarzu. Wtedy zrobiłem mu reprodukowane obok zdjęcie.

Od kilku lat straciłem go z oczu. Co Pan teraz porabia, panie Jakubie? Może kiedyś w wolnej chwili napisze Pan do nas, co słychać u Pana i w Kluszkowcach?

Tekst i zdjęcie
ANTONI KROH

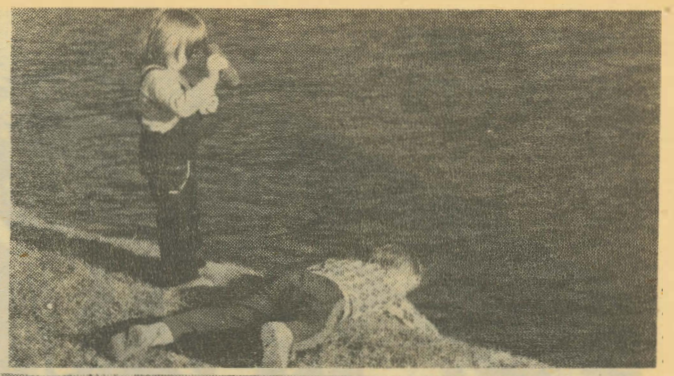

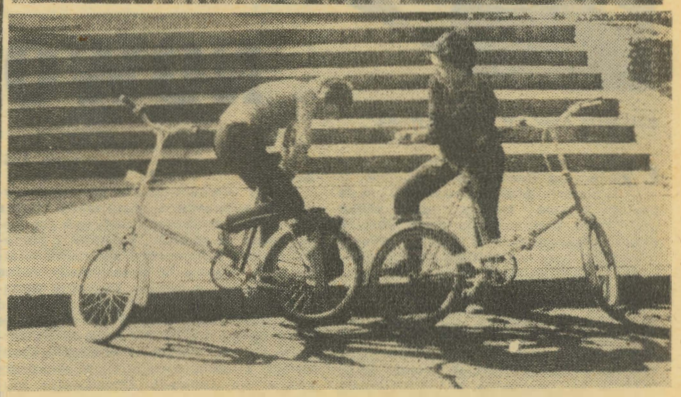

Zdjęcia: PAWEŁ GRAWICZ i MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Jak kochać dzieci

François Truffaut to nazwisko dobrze znane nawet ludziom interesującym się kinem dość pobieżnie: jeden z czołowych reżyserów nowej fali, laureat mnóstwa nagród (w tym „Cezara" za OSTATNIE METRO jako francuski film roku 1980) itd. itd. Umie robić kino popularne, a zarazem poetyckie; humanistyczne i bardzo narodowe; umie wspaniale opowiadać o miłości, o delikatności uczuć. No dobrze. A dlaczego jest taki, a nie inny? Co go przyciągnęło do kina? Co chce powiedzieć za pośrednictwem obrazów na ekranie?

Tych pytań widzowie na ogół sobie nie stawiają. Wybrać się na film czy też zasiąść przed telewizorem znaczy najczęściej: coś przeżyć, dowiedzieć się czegoś nowego, poznać ciekawą historię. Nie inaczej traktowane są na co dzień książki: przeczytać — czyli połknąć fabułę. Powiedzmy, że większość z nich na to tylko zasługuje; ale te poważniejsze — i te poważniejsze filmy? Czy rozważanie, o co chodziło autorowi, jakie myśli usiłował przekazać, dlaczego chciał porozmawiać — bo przecież każde dzieło fabularne jest r o z m o w ą, nawiązaniem porozumienia między twórcą a odbiorcą — więc, czy te wszystkie wysiłki mają się ograniczać tylko do czasu szkolnej nauki, kiedy to obowiązkowo dokonuje się „rozbioru" literackiego? Wszyscy powiedzą, że nie, oczywiście, że nie; ale życie coś słabo to potwierdza.

Oto właśnie przykład: KIESZONKOWE Truffauta, w ostatnich latach jeden z lepszych, ciekawszych i najbardziej sympatycznych filmów na naszych ekranach. We Francji był wielce popularny; u nas rzadko pojawia się w kinach, niechętnie jest uwzględniany w repertuarze, omijany przez widzów. Dlaczego? Można zdaniem właśnie z tych powodów, o których była mowa. Nie ma w nim fabuły; są pojedyncze obrazki z życia. Nie ma też efektownych scen, nagłych zwrotów akcji: nie w tym celu jest nakręcony, by intrygował, zaskakiwał, podsycał emocje. Jego intencją jest właśnie rozmowa, pogodne nakłonienie ludzi do cierpliwego rozejrzenia się wokół, do zrozumienia małych, ale ważnych potrzeb tych, którzy najbardziej wymagają troski i opieki: dzieci.

W natłoku powszedniej krzątaniny, trosk i zachodów o oporządzenie domu, zmartwień w pracy, kłótni z innymi dorosłymi, dzieci zwykle przeszkadzają. Pieszczone są od święta, w chwilach wytchnienia, w wieczornym spokoju; w ciągu dnia załażą za skórę, zmieniając się w brzdące, bachory, urwisy, złośliwe, leniwe, rozwrzeszczane czorty. Główny cel wysiłków wobec maluchów: uspokoić toto, posadzić w kącie, aby wreszcie mieć wolną głowę. Kto ma tyle cierpliwości, by zrozumieć ukryte powody zachowania się dzieci, ich motywacje? Ha, powiedzmy szczerze, prawie nikt. Z góry się zresztą zakłada, że dziecko jest jeszcze za małe, jeszcze za głupie, jeszcze zbyt niedoświadczone, by brać pod uwagę jego bardziej skomplikowane potrzeby. A tymczasem chodzi już nie tylko o to, że każde przeżycie malca wpływa zasadniczo na jego postawę w dorosłym życiu, ale o to, że dzieci mają naprawdę znacznie bogatszy świat doznań, niż na ogół się przyjmuje. Nie pamiętamy bowiem, o ile dziecko jest od przeciętnego dorosłego wrażliwsze. Co każe o tym zapomnieć? Egoizm.

KIESZONKOWE jest rozprawą z takim egoizmem. Rozprawą bardzo dobroduszną; Truffaut zaciekawia anegdotką, bawi dowcipem, wzrusza, ciepło perswaduje — i bardzo się stara, by nie zniechęcić do swojego wywodu, by nie nudzić. Co udaje mu się w zupełności: kawalkada kapitalnych scenek, w których dowodzi talentu obserwacyjnego, musi się podobać każdemu kto idzie na jego film wiedząc, o czym będzie traktował. Nie jest to jednak obrazek rozrywkowy, o, nie. To raczej bardzo umiejętna lekcja wychowawcza.

Dlaczego ją zrobił? Właśnie dlatego, że całe jego kino jest skierowane przeciw społecznemu samolubstwu. Ma po temu osobiste powody. Był w dzieciństwie pozbawiony troskliwości rodziców, wychowywał przez babcię, potem mieszkał w internatach, skąd uciekał; podczas okupacji od dwunastego roku życia kombinował na czarnym rynku; przeszedł przez dom poprawczy; jako młodzik zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej do Indochin; dwukrotnie dezerterował. Perspektywy życiowe otworzyła mu fascynacja kinem: w klubie dyskusyjnym zwrócił nań uwagę wybitny teoretyk kina André Bazin. Truffaut został krytykiem, później — reżyserem. Jego debiut to była trochę autobiografia: 400 BATÓW, opowieść o osamotnionym, szturchanym przez życie trzynastolatku.

Życiowe baty mogą przynieść zniechęcenie, kompleksy, złamanie charakteru — ale mogą też dać komuś, kto jest giętki i czuły, powód do społecznych działań w obronie słabszych, w imię człowieczeństwa. Tak stało się z Truffautem; stąd jego program artystyczny i takie późniejsze opowieści ekranowe, jak 451° FAHRENHEITA, DZIKIE DZIECKO oraz właśnie KIESZONKOWE.

Wybrał małe miasteczko (Thiers) w środkowej Francji, pojechał tam z ekipą na dwa miesiące, wybrał małych aktorów spośród miejscowych dzieci i, improwizując różne historyjki, poprosił nas o troskę dla najmłodszych. Tak się właśnie robi najcenniejsze kino: z życia i uczuć.

Kazimierz Skoczeń

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

DAWNE JEDNANIE NOWOŻEŃCÓW

Okres świąt to tradycyjny czas zawierania małżeństw. Corocznie w urzędach stanu cywilnego pada ponad trzysta tysięcy razy słowo „tak" — z tego znaczna część właśnie około Wielkanocy. Od dawien dawna młodzi przygotowywali się do tej chwili ze szczególną starannością, sama zaś ceremonia zawarcia małżeństwa ściśle związana była z epoką historyczną, jej zwyczajami i tradycją.

W starożytnym Rzymie zaślubiny odbywały się przez porwanie, faktyczne spędzenie trzech nocy, w drodze mancypacji tj. pozornego aktu sprzedaży oraz przez ślubowanie kobiety.

Prawdziwy rozkwit ceremonii związanych z zaślubinami nastąpił w średniowieczu. Dotychczasowe obrzędy zastąpione zostały nowymi, opartymi przede wszystkim na umowach między rodzinami nowożeńców i rytuale kościelnym.

W XV wieku wykształciła się prawnie sankcjonowana staropolska forma zawierania związku, składająca się początkowo ze zmówin, poślubin i pokładzin, czyli faktycznego spełnienia małżeństwa. Formy te przechodziły różne modyfikacje; z czasem zmówiny zastąpiono zaręczynami, które zaczęły odtąd odgrywać ważną rolę. W dawnej Polsce na zaręczyny — w rozumieniu dzisiejszym — nie zwracano szczególniejszej uwagi. Główne pertraktacje dotyczyły spraw majątkowych. Oblubienica musiała otrzymać od rodziców wyprawę i posag. Co stanowić miało ślubny dar — ustalano na zmówinach. Chodziło przy tym przede wszystkim o interesy z którymi rody (szczególnie arystokratyczne) często wiązały swe dalekosiężne plany. Za niedotrzymanie obietnic czekały surowe kary pieniężne. Całość ceremonii zaręczynowej w sferach wyższych ograniczała się do przewiązania rąk przyszłych nowożeńców stułą biskupa w obecności świadków i obydwu stron. Nieco inaczej wyglądał ten obrzęd w rodzinach chłopskich i dworach „szaraczków".

Dla wiejskiej dziewczyny staropanieństwo było rzekomą karą i hańbą za „grzechy" całej rodziny, dlatego taka, której mijało dwadzieścia lat, chciała wydać się za mąż jak najszybciej. Jednak nie wiek decydował o powodzeniu, lecz posag i majątek. Kawaler, upatrzywszy sobie dziewczynę, często się z nią spotykał przy różnych okazjach, na potańcówkach, na północce, pasieniu bydła, gawędził z nią o przyszłości, ale nigdy nie mógł sam decydować o małżeństwie. Najpierw musiał omówić sprawę ze swoimi rodzicami i dopiero po uzyskaniu zgody mógł czynić starania, zmierzające do ożenku. Zaręczyny i ślub poprzedzał — często długo trwający — okres konkurów.

Nawiązaniem kontaktów pomiędzy rodzicami dziewczyny, a kawalerem zajmował się swat (swojak) zwany także dziewosłębem. Rolę tę powierzano najczęściej gospodarzowi zorientowanemu w życiu wsi, wygadanemu i wesołemu. Jemu właśnie przypadało główne zadanie wiązania, snębienia dziewczyny z chłopcem. Kojarzenie małżeństw często bardzo się opłacało, bo jedna i druga strona hojnie po kryjomu swata nagradzała; zależało im, by swatanie było skuteczne.

Swatowie przyjeżdżali najczęściej z wódką, po przywitaniu gospodarzy zaczynali rozmowę, że *„słyszeli, iż mają coś do sprzedania, może krowę, konia, a może dziewczynę, bo ładnie im się chowa, rumiana, krzepka niby łania"*. Gdy „dobijanie" było skuteczne, rodzice panny młodej bez pośpiechu, z dumą opowiadali, że *„jakby kto Maryśkę chciał kupić i dobrze za nią zapłacić, to może by i sprzedali, bo dziewucha gospodarna, silna, zaradna i robotna"*. Faktor ciągnąc wątek opowiadał, że *„kupią, gotowy jest do tego szczególnie Jasiek od Jamrozego, chciałby się żenić"*.

Gdy konkury przebiegały pomyślnie i ustalono wiano tj. część majątku, jaką deklarował oddać przyszły mąż w zamian za otrzymany posag i na wypadek owdowienia — następowały zrękowiny. W umówiony dzień, najczęściej sobotę, przychodził kawaler z rodzicami i swatem do domu panny, przynosił flaszkę wódki przewiązaną wstążką. Pierwszy kieliszek przepijał do ojca, całując go przy tym w rękę. Na dowód zgody ojciec wypijał nalaną przez kawalera wódkę, on zaś przepijał do dziewczyny, która — na znak, iż godzi się zostać jego żoną — rozwiązywała wstążkę z butelki i zaplatała ją we własne włosy. Wstążka we włosach oznaczała to samo, co później pierścionek.

Często zdarzało się tak, że o względy panny ubiegało się naraz kilku konkurentów. Wybranym zostawał wówczas ten, który zdaniem rodziców dziewczyny był najbogatszy i najmocniej zabiegający o nią.

Inaczej toczyły się losy, gdy kandydat „nie odpowiadał", dostawał „kosza" lub „arbuza", dlatego od samego początku swatanie wymagało pewnego kunsztu, gracji i delikatności, tak by w wypadku niewyrażenia zgody nie spowodować uszczerbku na honorze kawalera, zaś pertraktacje uznać za zwykłą pogawędkę. Zdarzało się, że już na początku wizyty częstowano swatów wódką, ale bez podania kieliszków, albo podsuwano dynię; szeroko stosowanym wyrazem rekuzy była czarna polewka, niedojrzałe lub niedorodne owoce, kwiaty czarnego koloru postawione na stole, nieogrzewana izba, odsłonięte firanki w oknach. Symbolem odtrącenia był także wianek uwity z uschniętych kwiatów, albo rzadziej stosowany zwyczaj kładzenia na stół obosiecznej broni.

Od zaręczyn wszystko toczyło się jawnie: ustalano termin ślubu, poprawin, przenosin, prowadzono wzajemne odwiedziny i urządzano wspólne huczne zabawy i pijatyki.

Wspomnieć trzeba, że obyczaj obdarowywania młodej panny pierścionkiem wykształcił się dopiero w XVII wieku w rodzinach możnych. Podyktowany był wiarą w specyficzną siłę i moc metali i kamieni szlachetnych, wyzwalających i rodzących zdrowe, prawdziwe uczucia miłości. Ceremonia wręczania pierścionka przez pana młodego łączona była najczęściej z balem zaręczynowym obydwu rodzin.

Ciekawe i bogate formy kojarzenia nowożeńców kształtowały się i rozwijały w zależności od sytuacji panującej w kraju. Na znaczne ograniczenie i zanik ludowej obrzędowości w naszym kraju i poszczególnych jego regionach miały duży wpływ okresy wojen i zaborów. Obecnie przetrwały tylko niektóre zwyczaje, przy czym na wsi nowosądeckiej często można jeszcze je spotkać...

Adam Garbicz

KIM BYŁ NAPRAWDĘ

Piętnaście lat temu skojarzenia wszystkich były jednakie: John Lennon? Oczywiście, to jeden z czwórki długowłosych z Liverpoolu. „The Beatles" znajdowali się w centrum uwagi Europy i Ameryki. Wcale nie myślę tu tylko o zjawiskach kultury masowej: wieści o koncertach, nowych nagraniach, ba, faktach z życia prywatnego czterech młodych ludzi przesłaniały nawet wydarzenia polityczne. Próbowano dociec, dlaczego. Przyczyny były bardzo istotne, ale u nas, w Polsce, właściwie ich wówczas nie odkryto — nawet jeśli podejmował się tego ktoś tak przenikliwy, jak KTT w wielkim eseju „Dwie podróże aniołów z przedmieścia" w numerach „Kultury" z 10 i 17 marca 1968 roku, czyli bodaj w ostatnich dwóch numerach, które podobny tekst mogły zawierać. Również teraz, po wielu latach, nie jest jeszcze oczywista cała prawda. Spróbuję się do niej zbliżyć — według tego, jak wygląda ona w mojej świadomości i pamięci.

Nie, naprawdę nie to jest ważne, jak „The Beatles" wyglądali, jak wpływali na styl bycia, jakie były tytuły ich kolejnych superprzebojów. Istotne jest, co wyrażali. Głównie — co wyrażali wewnętrznie; bo jeśli chodzi o akcesoria, o sposób zachowania się, o typ muzyki — to wiele szczegółów mogło zbijać z tropu czy wręcz odrzucać od dalszego

interesowania się „postrzeloną bandą młodzików". Doprawdy trzeba było mieć niezwykłą otwartość poglądów, aby w wieku czterdziestu czy więcej lat zaakceptować chłopców, którzy podskakują w kółko na estradzie, wrzeszczą „yeh, yeh, yeh" i walą prymitywne akordy gitarowe przy wtórze pisku dziewcząt na widowni!

Ale też oni wcale nie liczyli na akceptację. Wręcz przeciwnie: prowokowali wszystkich zmurszałych umysłowo. To był bunt. Wydawało się, że zwykły bunt nieopierzonych przeciwko dorosłym. Że odwieczny konflikt pokoleń. Że to tylko młodość, która musi się wyszumieć.

Rok 1968 przyniósł odpowiedź jednoznaczną: to był inny bunt. Oznaczał wystąpienie przeciwko zbiorowi zasad społecznych, obowiązujących w kapitalistycznym państwie dobrobytu. Protest wyrażany pogardą i odrzuceniem. Od angielskiego „to contest" — zakwestionować, odmówić zgody — nazwany został kontestacją. Ponieważ zjawisko to oznaczało również „nie" dla dotychczasowej linii rozwoju cywilizacji Zachodu — nazwano go ruchem kontrkultur

Pokój zamiast wojny (wietnamskiej); miłość zamiast nienawiści (rasowej); samodoskonalenie się moralne (nie tylko według zasad chrześcijańskich, tak-

Zwrot do ziołolecznictwa (3)

Przeciw groźnej grypie

(I)

Jeżeli zapowiedzi futurologów spełnią się, kolejna epidemia groźnej grypy nie ominie ludzkości. Ostatnia, która miała miejsce w 1968 roku, pochłonęła 80 tys. ofiar śmiertelnych. Choć nie jest to wiele w porównaniu do słynnej w latach 1918—1919 „hiszpanki", pozbawiającej życie 20 mln istnień ludzkich — wywołuje zaniepokojenie. Współczesna medycyna, mimo doskonałego zaplecza środków leczniczych, nie dysponuje skutecznymi szczepionkami przeciw tej uporczywej epidemicznej chorobie wywołanej przez swoiste wirusy.

Nim jednak zaatakuje nas epidemia grypy, warto sobie przypomnieć o właściwościach leczniczych niektórych roślin, wykorzystywanych przez całe pokolenia przy zwalczaniu wszelkich grypopodobnych objawów. Są pośród nich pospolite chwasty spotykane na łąkach i miedzach, są rośliny przyprawowe, bez których nie może obejść się żadna dobra gospodyni, są wreszcie krzewy i drzewa. Obcujemy z nimi na co dzień nie wiedząc, że mogą być skutecznymi lekami przeciwgrypowymi.

Np. **babka lancetowata** — znany chwast rosnący w całym kraju na łąkach, pastwiskach, polanach leśnych, miedzach, przydrożach, w miejscach ruderalnych, na brzegach wód — od dawien dawna zalecana jest przez medycynę ludową jako doskonały lek przeciw kaszlowi. Własności lecznicze mają szczególnie liście babki, które powinno się zbierać w okresie kwitnienia. Zawierają śluz, glikozyd, garbniki, karoten, witaminy K i C oraz sole mineralne takie jak sód, potas, magnez. W przypadku chrypki i duszącego kaszlu dobrze zrobi napar z babki i biedrzeńca: szklankę wrzątku trzeba zalać łyżkę suszonego ziela babki oraz łyżkę biedrzeńca, następnie osłodzić miodem i pić 2—3 razy dziennie po łyżce. W wielu krajach produkowany jest z babki syrop ziołowy jako środek wykrztuśny stosowany przeciw astmie oskrzelowej oraz przy nieżytach żołądka. Mieszkańcy Litwy piją odwar z suszonego ziela babki jako herbatę. W krajach zachodnich świeże liście babki, pokrzywy i mniszka stosuje się we wzmacniającej kuracji wiosennej. Zewnętrznie można stosować babkę jako okłady przy trudno gojących się ranach, oparzeniach i stłuczeniach. Podobne własności posiada babka zwyczajna, różniąca się od lancetowatej krojem liści: są one szerokojajowate.

Przeciwkaszlowo działa także **podbiał pospolity** — jedna z najwcześniej kwitnących roślin. Występuje na zboczach, przydrożach, gliniastych polach, na brzegach wód i rowów. W lecznictwie używa się liści podbiału, rzadziej kwiatu. Łyżkę stołową suchych liści zalewa się szklanką wrzącej wody i po 10 minutach odcedza. Przy leczeniu dróg oddechowych i gardła oraz w chorobach pęcherza i nerek zalecane jest picie 2—3 szklanek naparu z podbiału dziennie. Podbiał działa także dezynfekująco i przeciwzapalnie. Liście podbiału można zbierać od maja do czerwca; uwaga: nie myl ich z liśćmi lepiężnika; które są podobne w kroju, ale znacznie większe.

Również **biedrzeniec mniejszy**, rosnący w całej niemal Europie na suchych łąkach, pastwiskach, miedzach, nasypach, przydrożach, stosowany jest przy leczeniu chorób dróg oddechowych jako środek ułatwiający oddychanie i odrzucanie flegmy. Własności lecznicze ma korzeń biedrzeńca, który należy zbierać we wrześniu i październiku. Z wysuszonego korzenia sporządza się odwary i nalewki. Korzeń biedrzeńca zawiera olejek eteryczny, alkaloidy, garbniki i glikozydy. Z młodych liści biedrzeńca można przyrządzić sałatkę. Zaleca się również stosowanie korzenia przy zaburzeniach trawienia.

Na słonecznych zboczach, żwirowiskach, pastwiskach można spotkać pospolitą roślinę miododajną: **dziewannę wielokwiatową. Z jej kwiatu sporządza się odwary, które skutecznie leczą kaszel, chrypki, zaflegmienie górnych dróg oddechowych.** W kwiecie dziewanny przypuszczalnie znajdują się substancje zbliżone do antybiotyków, o działaniu przeciwzapalnym. Zbioru złocistożółtych kwiatów dokonywać należy podczas suchej pogody, a suszyć w miejscach cienistych.

Znaczne właściwości lecznicze ma roślina warzywna — **cebula.** Pochodzi ona z Azji Środkowej i północnozachodnich Indii. W cebuli znajduje się substancja działająca silnie bakteriobójczo. Jest wykorzystywana jako lek wykrztuśny. Upieczoną lub uduszoną z miodem cebulę, roztartą na miazgę i zmieszaną ze szklanką mleka, należy pić na noc lub jeżeli dłużej można poleżeć w łóżku — rano i wieczorem, przy chorobach dróg oddechowych, także przy zapaleniu oskrzeli. Spożywanie świeżej cebuli wpływa na tworzenie się i wydzielanie żółci, obniża ciśnienie krwi, wzmaga trawienie i pobudza apetyt, działa też uspokajająco. Wielu ziołologów twierdzi, że cebula zapobiega tworzeniu się nowotworów. Zewnętrznie — np. przy owrzodzeniach — można stosować gorącą uduszoną cebulę. Nakłada się ją na kawałek gazy lub czystego płótna i przykłada do chorego miejsca, nakrywając folią lub ceratką.

Od zamierzchłych czasów znany jest jako roślina przyprawowa, warzywna i lecznicza — czosnek. Surowcem zielarskim są świeże główki czosnku, które powinno się zbierać w lipcu lub sierpniu po zaschnięciu liści. Zawierają olejek lotny o specyficznym zapachu, organiczne związki siarki, witaminy A, B, C oraz substancje zbliżone do hormonów. Dobre wyniki daje stosowanie czosnku przy chrypce i uciążliwym kaszlu. Pije się wówczas czosnek utarty z mlekiem i miodem. Czosnek, podobnie jak cebula, obniża ciśnienie krwi, działa żółciopędnie, hamuje rozwój bakterii. Bywa również stosowany przy wzdęciach, sklerozie oraz przy zwalczaniu pasożytów przewodu pokarmowego.

Chrzan pospolity — uprawiany już od XII wieku przez Słowian — oprócz tego, że jest ulubioną przyprawą, ma niemałe własności lecznicze. Syrop sporządzany z chrzanu zalecany jest przy nieżycie oskrzeli, w chorobach gnilcowych dobrze robi przykładanie w miejsca bolesne świeżych plasterków chrzanu. Chrzan jest również doskonałym środkiem leczniczym przeciw zmęczeniu wiosennemu, ponadto można go stosować do regulacji czynności żołądka i jelit. Używając chrzanu w tym ostatnim przypadku, trzeba jednak pamiętać, by dawki nie były zbyt duże, gdyż mogłyby spowodować zapalenie błon śluzowych.

(Hak)

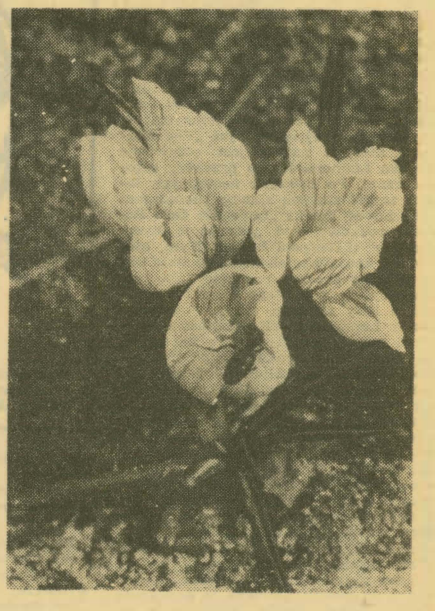

Fot. ARCHIWUM

JOHN LENNON?

że według buddyjskich, według zasad wschodniej filozofii zen) — zamiast obłudy czcicieli dolara; wolność zamiast pęt dorobkiewiczowskiej stabilizacji; swoboda zachowań zamiast nadętej sytości burżujów. Piękne hasła. Za mało oparte na prawach rozwoju społecznego? Owszem, za mało. Dlatego płomień tych idei musiał wygasnąć. Kontestacja pozostała piękną legendą. Ale dokonała tak wielkich przeobrażeń Ameryki i całego świata współczesnego, jak żadna idea od czasów II wojny. Z tego żaru rodzą się i będą się rodzić nowe zjawiska, nowe myśli — tak, jak z żaru socjalizmu utopijnego wyszły nauki Marksa. Nie, wcale nie zagalopowałem się z porównaniem. Przekonany jestem, że nie.

Lecz co ma wspólnego z tym wszystkim czwórka z Liverpoolu?

Odpowiedź jest prosta, ale pod warunkiem, że nie będzie się Lennona, McCartneya, Harrisona i Starra traktować tylko jako idoli młodzieżowej subkultury. Owszem, oznaczali „bożyszcza", szczególnie dla rozhisteryzowanych nastolatek. Nieporównanie ważniejsze było jednak ich znaczenie symboliczne. Równocześnie awangardowi i popularni, plebejscy i intelektualni, a do tego wybitnie utalentowani muzycznie — stali się doskonałymi wyrazicielami ducha, który ożywiał ich rówieśników. „All You Need Is Leve" — „Wszystko, czego ci potrzeba, to miłość": takie hasło, tytuł ich piosenki, stało się hasłem ruchu kontestatorów. Piosenka zaczyna się od taktów „Marsylianki"... Łatwe to, zbyt tanie? Może. Ale przecież wszelkie symbole winny być bardzo bezpośrednie. Ten był: marszowym rytmem wyrażony pochód ku wolności i miłości.

W pierwszych latach sukcesów „The Beatles" jawili się rówieśnikom tylko jako „nasi", którym się udało. Wszyscy pochodzili z przedmieść: Starr z rozbitej rodziny ze slumsów w dokach; Harrison jest synem konduktora; McCartney — komiwojażera; Lennona wychowywała ciotka, ponieważ ojciec — wagabunda i alkoholik — porzucił rodzinę wkrótce po urodzeniu się Johna, zaś matka potrafiła żyć tylko z dnia na dzień jako piosenkarka w lichych lokalach. I oto ten „czterogłowy Orfeusz", jak nazwał zespół z Liverpoolu znany krytyk George Melly, osiągnął światowy sukces! Koledzy-proletariusze musieli być z nich bardzo dumni. Już wcześniej począł budzić ich nadzieje intelektualny nurt brytyjskich „młodych gniewnych", podnoszący wagę kultury robotniczej. Teraz oni, ci z ulic, zyskali jakby potwierdzenie, że coś znaczą, że też mają coś własnego, co da się przeciwstawić eleganckiemu i arogranckiemu, snobistycznie wyrafinowanemu światu wartości dobrze sytuowanych obywateli. Rozumieli tę czwórkę. Czuli, że jest w niej co najmniej jeden geniusz: ten najstarszy, przywódca, autor tekstów — John Lennon.

Bo to na pewno Lennon był duszą zespołu, choć również na pewno nieodłącznymi jego częściami byli brat-lata Ringo Starr i zamyślony mistyk, płaczący gitarą George Harrison, i liryczny, pogodny, kochający wspólne piosenkowanie Paul McCartney. Był duszą, ponieważ właśnie on cały chciał się oddać światu poprzez sztukę i właśnie on był do tego najbardziej powołany. To Lennon uczynił z liverpoolskiej czwórki nośnik idei pokolenia. Stało się to w roku 1966, gdy San Francisco zmieniło się w miasto kwiatów, gdy zazieleniła się kontestacja amerykańska. Lennon pojął, czym jest ten ruch; pojął, bo odpowiadał on jego najgłębszym ideom braterstwa ludzi dobrej woli.

Gdy zginął tragicznie w poniedziałek 8 grudnia 1980 roku, był już na poły zapomnianą przez świat postacią z na poły zapomnianej epoki. Podaruję sobie stwierdzenie o ironii losu, który zrządził jego śmierć w takich okolicznościach; choć o tym napisano również w polskiej prasie. Nie udało mi się wszakże znaleźć w tych opisach słów, które przedstawiałyby go naprawdę — choć teraz, z perspektywy historycznej, zda się to przecież łatwiejsze niż przed dziesięciu laty, gdy wielu spraw, szczególnie u nas, nie można było przeniknąć.

Więc — kim był i dlaczego?

Wiele wyjaśnia tu jego dzieciństwo. Pozbawiony ojca, całe uczucia skierował na matkę, tym bardziej, że ciocia Mimi była dość obłędną purytanką i ani rusz nie umiała znaleźć porozumienia z nadwrażliwym chłopcem. No tak, ale matki praktycznie nie było; tylko od czasu do czasu pojawiała się niczym meteor i urządzała miły wieczór swoich piosenek przy akompaniamencie banjo lub brała syna na spacer, wdziawszy mu na przykład spodnie na głowę. Dodajmy, że na ów spacer szła bez okularów, choć była straszliwie krótkowzroczna. Taka była mama. John kochał ją bez granic, więc kochał także jej wolność, anarchiczny humor, artystyczną duszę. To od niej dostał gitarę. Gitarę-symbol wyzwolenia się poprzez sztukę: tak, myślę, że było to przeświadczenie młodego Johna.

Cios, który go spotkał w wieku lat szesnastu, musiał to przeświadczenie pogłębić: matka zginęła w wypadku ulicznym. Bardzo to zaważyło na psy-

CIĄG DALSZY NA STR. 12

KIM BYŁ NAPRAWDĘ JOHN LENNON?

CIĄG DALSZY ZE STR. 11

chice Lennona; jak wspomina jego pierwsza żona Cynthia, lękał się odtąd wszelkich gwałtownych przeżyć, zamknął w sobie, zapamiętał w muzyce i poezji (zawsze obstawał, że przede wszystkim jest poetą, i miał prawo się upierać, skoro jego dwa tomiki wierszy z lat 1964–1965 zaliczone są już, jako niezwykle oryginalne, do osiągnięć literatury brytyjskiej). Niestety, zawierają strofy praktycznie dla obcokrajowca niedostępne: ich urok, wielowarstwowość, finezja polegają na przemyślnie nieortograficznej pisowni i bardzo ścisłych nawiązaniach do angielskiej tradycji literackiej — od średniowiecza poprzez Lewisa Carrolla do Jamesa Joyce'a.

Wróćmy jednak do matki Lennona. Po śmierci była może nawet bardziej obecna w świadomości Johna, niż za życia; stała się niemal jego obsesją. Siedemnastoletniego dziś syna nazwał od jej imienia Julianem; jeszcze w latach siedemdziesiątych poświęcił jej jedną z dwóch najświetniejszych w tym okresie swoich piosenek — wstrząsającą „Mother" (ta druga to jego najpiękniejszy utwór po odejściu z liverpoolskiej czwórki: „Imagine" — „Wyobraź sobie"). Wcześniej zaś, jeszcze dla zespołu, napisał wzruszającą, elegijną „Julię".

Lecz pamięć pozostaje, a życie idzie naprzód. W rok po śmierci matki Lennon utworzył duet z McCartneyem; w trzy lata później istnieli już „The Beatles", których nazwa jest oczywiście dziełem Lennona i jego przekory ortograficznej. Po czterech następnych latach zespół stał się sławny piosenkami „She Loves You" i „Love Me Do". Powstał rockowy styl „brzmienie liverpoolskie" (Liverpool Sound). Tym, którzy nie znają angielskiego, wydaje się, że to tylko skoczne przeboje. Cóż, rockowe rytmy z tamtego okresu rzeczywiście były skoczne, ale już owczesne teksty Lennona dzieli przepaść od naszych rodzimych „Rysunków na szkle". Na przykład piosenka „Help" (Na pomoc), która szczególnie po filmie pod tym tytułem kojarzy się z niefrasobliwą błazenadą, jest w rzeczywistości dramatycznym wołaniem samotnego człowieka, który nie umie sobie poradzić z właśnie osiągniętą sławą:

Panno Madonno, dzieci u twych stóp
Myślą, jak powitasz swój koniec.
Kto znajdzie pieniądze na czynsz?
Czy myślisz, że ześlą je niebiosa?
Noc piątkowa nadchodzi bez kuferka
Niedzielny ranek wpełza niczym
zakonnica
Poniedziałkowe dziecko wciąż uczy się
wiązać sznurowadła
Zastanów się, co będzie z maleństwami?
Panno Madonno, niemowlę przy twej
piersi
Myśli, jak nakarmisz dom.
Zastanów się, co będzie z maleństwami?

To pierwsza połowa piosenki; druga jest podobna; końcowe dwa wiersze są powtórzeniem pierwszych. Ciekaw jestem, ilu polskich amatorów tego przeboju zdawało sobie sprawę, o co w nim chodzi? No właśnie. Ten przykład pozwala chyba zrozumieć, że u nas „The Beatles" byli tylko zaczepną modą, natomiast na Zachodzie — rzecznikami zbuntowanego pokolenia.

Gdy weszli na szczyt — w okresie płyt „Orkiestra Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza" i „All You Need Is Love", a więc w roku 1967 — rządzący zrozumieli, że ten bunt jest niebezpieczny. Hasła protestu przeciwko wojnie wietnamskiej trzęsły Stanami Zjednoczonymi (skutecznie: afera Watergate była końcem tego procesu wstrząsów, który obalił amerykańską prawicę). Wówczas „The Beatles" — którzy za sprawą Lennona stali się wyrazicielami nastrojów kontestatorów — doświadczyli, co znaczy odpowiedzialność za kształtowanie opinii młodzieży. Osiągnęli arcypopularność, mieli zatem władzę. Była to władza podejrzanie rewolucyjna. Władza oficjalna rozpoczęła kontratak. Amerykańskie tournée czwórki z Liverpoolu, ukoronowane występem w Monterey, odbywało się w atmosferze represji policyjnych: jak wyglądało wówczas instruowanie funkcjonariuszy sił porządkowych, mogliśmy oglądać w jednym z odcinków serialu „All You Need Is Love", wielce nieszczęśliwie zatytułowanego w naszej tv jako „Historia muzyki rozrywkowej" (nawiasem mówiąc, rozumienie istoty rocka przez autorów tego serialu jawnie kończy się na początku lat siedemdziesiątych — bo nie da się inaczej pojąć sposobu potraktowania przez nich ruchu „punków" czy wybitnej, jadowicie antyburżuazyjnej i dlatego tak ekscentrycznej twórczości Iana Andersona i „Jethro Tull").

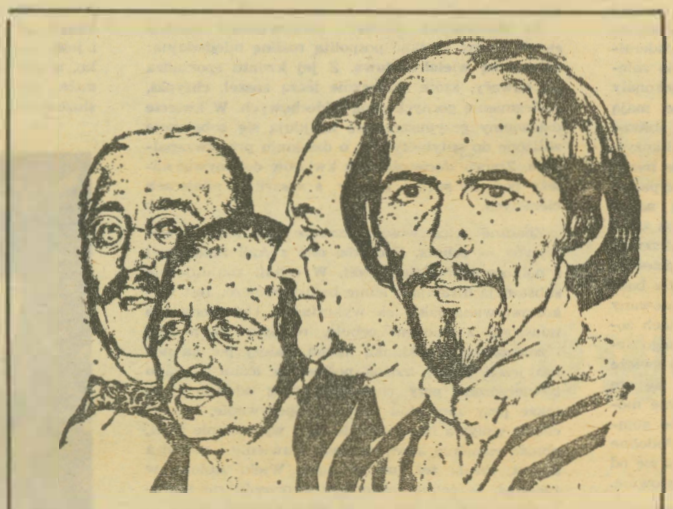

Tak mieli wyglądać Lennon, Starr, McCartney i Harrison w roku 2005... Rysunek powstał w okresie wielkiej popularności piosenki GDY BĘDĘ MIAŁ 64 LATA, którą „The Beatles" stworzyli w roku 1967.

Po Monterey przyszedł słynny Woodstock i krwawa rozprawa z młodzieżową demonstracją na konwencji przedwyborczej w Chicago w roku 1968. „The Beatles" do Stanów nie wrócili. Po zagadkowej śmierci 33-letniego menedżera zespołu Briana Epsteina, która nastąpiła w okresie koncertów amerykańskich, liverpoolska czwórka przestała być jednolita. John Lennon, a także George Harrison, przechodzili na pozycje coraz bardziej radykalne — zarówno w muzyce, jak w głoszonych poglądach: Paul McCartney chciał pozostać romantycznym, grzecznym piosenkarzem, takim jak w poprzednich pięknych balladach „Michelle", „Girl" czy „Yesterday". Nie miał ochoty stać się obiektem wściekłych ataków prawicy, choćby tych, które posłużyły się pretekstem wypowiedzi Lennona „jesteśmy teraz bardziej popularni od Chrystusa". Te gorzkie słowa wcale nie miały w intencji autora obrażać uczuć religijnych. Chodziło o coś innego: o szokujące stwierdzenie, że ludzie zatracili poczucie etyki chrześcijańskiej, że powierzchowność ich bycia prowadzi do oślepiania się modami dnia. „Tracimy kontakt ze światem duchowym" — mówił Lennon. — „W zdegenerowanym tłumie poczynają się pojawiać dwudziestoletni zgrzybiali staruszkowie".

Kościół wyciągnął wnioski i zwrócił się ku młodzieży. Zaczęły powstawać nisze rockowe. Ciąg dalszy znamy.

W tamtym czasie jednakże prowokacyjne wystąpienie Lennona dało atuty do ręki prawicy. Ku-Klux-Klan na zlecenie swojego szefa, czyli Wielkiego Smoka, począł urządzać wiece połączone z paleniem płyt „The Beatles". Coś to przypomina...

Zaczęły się też represje antynarkotyczne. Niestety: narkotyki, a szczególnie LSD, były tragicznym błędem kontestatorów. Zdobywanie pigułkowej odwagi przeciwstawiania się złej rzeczywistości (u nas w tym celu łyka się gorzałkę) i ucieczka w kolorowe halucynacje były zarówno bezsensowne, jak ogromnie szkodliwe społecznie. Tymczasem młodzież, w tym niemal wszyscy muzycy rockowi, dali się wciągnąć w zabawę z ogniem. Nie był wyjątkiem Lennon, który wręcz stwierdzał, że bez „prochów nie pociągnie — jakkolwiek przestrzegał przed nimi innych. Dało to wspaniałe argumenty przeciwnikom, tym bardziej, że „The Beatles" sami podbijali ten bębenek — choćby przez słynną „Lucy in the Sky with Diamonds", piosenkę, której duże litery układają się w skrót LSD. Zaprzeczali oficjalnie, jakoby mieli to na myśli — ale popatrzmy na tekst piosenki:

Wyobraź sobie, że płyniesz łódką po
rzece
Wśród mandarynkowych drzew na tle
marmeladowego nieba
Ktoś wzywa cię, odpowiadasz
niezwykle powoli
Dziewczynie o kalejdoskopowych
oczach.
Żółto-zielone kwiaty z celofanu
Górują nad twoją głową
Szukasz dziewczyny ze słońcem
w źrenicy
Lecz zniknęła...
Lucy w diamentowym niebie.
Podążasz za nią do mostu przy
fontannie
Gdzie ludzie-komiks na biegunach
Jedzą szarlotkę z prawoślazu
Wszyscy uśmiechają się, gdy dryfujesz
obok kwiatów,
Które rosną tak niewiarygodnie
wysoko...

Czyż nie jest to wizja psychodeliczna? Owszem, jest; choć równocześnie mógłby to napisać Lewis Carroll, który tworząc „Alicję w krainie czarów" nie miał, dalibóg, nic wspólnego z LSD. Podobnie za niby-narkotyczną można byłoby uznać „Strawberry Fields Forever" (Wieczyste pola truskawek), najpiękniejszą poetycko piosenkę Lennona, która tak naprawdę jest jednak smętęsknotą za rajem dzieciństwa.

Koniec lat sześćdziesiątych przynosił coraz gwałtowniejsze wydarzenia polityczne. I oto McCartney począł się wycofywać w zacisze muzykowania dla brytyjskich klas średnich; Harrison zgłębiał filozofię i muzykę Wschodu; Lennon natomiast rzucał coraz ostrzej hasła społeczne, na znak protestu przeciwko dławieniu ruchu wyzwoleńczego w Irlandii oraz poparciu Londynu dla wojny wietnamskiej zwrócił nadany mu Order Imperium Brytyjskiego i wystąpił jako aktor w obrazoburczym filmie pacyfistycznym „Jak wygrałem wojnę". Wtedy zjawiła się przy nim japońska malarka, wojująca feministka, Yoko Ono. Koniec „The Beatles" był przypieczętowany. Nagrali wspólnie jeszcze dwa wspaniałe longplaye „Abbey Road" i „Let It Be", nagrali jeszcze zachwycające piosenki „Hey Jude" i „Get Back", nawołujące do spontaniczności, do bycia sobą, do wybrania indywidualnej, prawdziwej drogi życia — ale stało się pewne, że Lennon właśnie odejdzie tą swoją drogą z „brudną Japonką", jak z nienawiścią nazywała ją konserwatywna prasa brytyjska.

Musiał odejść, bo to Yoko Ono, jak sam stwierdził, „otworzyła mu oczy i uświadomiła, że nie jest już chłopcem"; a miał już pod trzydziestkę. To ona wypełniła kilkunastoletnią pustkę po matce (czego nie zrobiła pierwsza żona) i uświadomiła mu, że ten świat nie jest światem „męskich szowinistów", do których, co tu dużo mówić, należeli również „The Beatles". John stał się kontestatorem pod każdym względem, również obyczajowym: na okładce „Dwojga dziewic", pierwszej wspólnej płyty z Yoko, która zaczęła śpiewać, pokazał się ze swą nową żoną całkiem nago.

Tak, Lennon stał się radykalistą do ostatnich granic, które pozwalały mu jeszcze pozostać w ramach tamtego społeczeństwa, choć oczywiście, nie są to nasze miary lewicowości. Nie był socjalistą. Nie był zresztą także lewakiem-burżuazyjnym, o czym niech świadczą jego słowa piosenki „Rewolucja", napisanej właśnie w gorącym roku 1968: „Mówisz, że chcesz rewolucji? Dobrze. Mówisz, że chcesz zmiany konstytucji? Dobrze. Ale gdy mówisz, że chcesz niszczyć — nie licz na mnie". Jego poglądy były jednak dostatecznie skrajne, aby rząd amerykański przez wiele lat odmawiał mu prawa stałego pobytu w Stanach. Nic dziwnego: można było przełknąć drastyczne słowa Lennona na temat równouprawnienia płci w krajach kapitalistycznych — i nie tylko — „Kobieta jest czarnuchem świata"; można było mu podarować sarkastyczne „Tak zwane szczęście Irlandczyków"; można nie zauważyć oskarżycielskiego tonu „Gry wyobraźni", gdzie mowa o omamianiu społeczeństwa przez propagandę oficjalną i potrzebie stworzenia nowego porządku w państwie Utopia; można zapomnieć policzek wymierzony prezydentowi Stanów, gdy na Boże Narodzenie Lennon wraz z Ono umieścili w prasie ogłoszenie na całą kolumnę: „Wojna się skończy, gdy tego zechcecie. Wesołych Świąt" — i rachunek wysłali Nixonowi; dało się też wybaczyć Lennonowi piosenkarski protest przeciwko ingerencji w Wietnamie „Dajcie szansę pokojowi" — ale niepodobna było pominąć polityczne niebezpieczeństwo poglądów, zawarte w piosenkach „Władza w ręce ludu", „Uwolnijcie naród" i „Bohater proletariatu". Tak, ballady śpiewane przy gitarze są dziś potężnym orężem politycznym, potężniejszym niż ongiś wiersze rewolucyjne — bo rozprzestrzeniają się, dzięki technice przekazu masowego, błyskawicznie, a ponadto ich emocjonalność wzmagana jest niepospolicie przez burzliwe akordy muzyki. Sam nosny głos Joan Baez, samo jej gniewne uderzenie w struny już porywa audytorium. Nie mogę w tym miejscu powstrzymać się od uwagi, że wymienione tu protest-songi Lennona, pochodzące już z lat siedemdziesiątych, są prawie nieznane w Polsce. Powód? No cóż, ani nie były to lansowane na Zachodzie przeboje, ani łatwo wpadające w ucho, skoczne melodie — wobec tego nasi prezenterzy, zapatrzeni w listy „górnych dwudziestu kawałków" i nieszczególnie znający język angielski, jakoś je omijali (sytuacja zmieniła się dopiero od kilku lat).

Ale tamta młodzież znała te pieśni i wiedziała, kim jest Lennon nawet wtedy, gdy od roku 1973 przestał koncertować, przeszedł głęboką metamorfozę osobowości pod wpływem Yoko Ono (która między innymi wyzwoliła go od narkotyków), spróbował po upadku ruchu kontestatorów oprzeć na tamtych wartościach swoją postawę ojca rodziny i przez pięć ostatnich lat zajął się wychowaniem drugiego syna, Seana. Ten okres był dla Lennona czasem przemyśleń na pustyni. Gdy miał lat 40, wrócił do życia publicznego. Nagrał z Yoko Ono nowy album płytowy — znów świetny muzycznie — „Zdwojoną fantazję". Jestem przekonany, że miałby jeszcze wiele do powiedzenia — nie tylko jako artysta, ale także jako człowiek, który wyszedł z proletariackiej biedy, by głosić pokojowe braterstwo zjednoczonych przeciwko nierównościom społecznym.

Zgubiło go amerykańskie szaleństwo. Szaleństwo, które pcha niezrównoważonych młodzików do uśmiercania zdobywców sławy. Owa herostratesowa gorączka pochłonęła już za Oceanem dziesiątki ofiar i nic nie wskazuje, by rychło miała wygasnąć.

Odtąd John Lennon może żyć tylko w ludzkiej pamięci. Myślę, że w naszej świadomości powinien mieć poważniejsze miejsce, niż dotychczas. Dla mnie jest jednym z duchowych inspiratorów tego, co właśnie chcemy osiągnąć.

ADAM GARBICZ

TWOJEMU DZIECKU

Alabastrowa rączka

(baśń czeska)

Do pewnej wioski przyszli dwaj żołnierze, którzy ukończyli służbę w wojsku i szukali pracy. Jeden z nich miał jeszcze dość sił i zdrowia, ale drugi, nieborak, był już starym inwalidą, chłopi tylko z litości przyjęli go do siebie.

Nastała zima, kobiety schodziły się razem wieczorami i przędły. Rade były, kiedy oni obaj zaglądali do nich, bo ten stary znał piękne baśnie i awanturnicze opowieści, a ten drugi powtarzał żarciki i różne łotrowskie kawały. Kobiety zanosiły się od śmiechu.

Była między nimi dziewczyna, już nie młoda, spodobała się wesołemu wojakowi. Co prawda miała tylko małą chatkę, nic więcej, ale wojak pomyślał: „jest gospodarna i zręczna, ja zarobię, ona dorobi i zaoszczędzi, będziemy mieli dach nad głową i jakoś sobie poradzimy".

Pobrali się. On służył, ona chodziła na wyrobek, żyli zgodnie i szczęśliwie.

Ucieszyli się, kiedy przybyła im córeczka, Zuzanka. Z każdym rokiem rozkwitała coraz ładniej. A takie to było miłe dziecko, że coraz to do innej chaty zapraszano ją na obiad.

Kiedy podrosła, pomagała w pracy, komu tylko mogła. Wszyscy ją lubili. Ale Zuzanka najbardziej pokochała Marcina, starego kolegę ojca, i on też poza nią świata nie widział.

Zuzanka najchętniej biegała i śpiewała po lesie, po łąkach i polach. Niedaleko wsi stał opuszczony stary zamek, mury miał porośnięte mchem. Między tymi murami Zuzanka plotła wianki i śpiewała.

W głębi, obok ruin kaplicy zamkowej, znajdowały się groby tych, którzy mieszkali tu przed wiekami. Nikt już o nich nie pamiętał, jaskółki wygrzewały się w słońcu na omszałych, kamiennych płytach i słowiki kląskały w gęstwinie. Tylko Zuzanka dbała o te groby. Jej dziecinne rączki układały na nich wianuszki.

Tak minął jej piętnasty rok.

Nastał czerwiec, przyszła wigilia świętego Jana, kiedy to młodzież pali po górach ogniska.

Zuzanka pobiegła pierwsza na wzgórze zamkowe i przygotowała gałęzie. Z dołu dolatywały do niej piosenki, okrzyki i śmiech młodych, którzy schodzili się na Sobótki.

Kiedy się zeszli, wzięli się wszyscy za ręce i śpiewali, potem skakali przez ognisko. Wtem Zuzanka potknęła się o jakiś biały przedmiot. Obejrzała go przy ognisku. Była to mała rączka wyrzeźbiona w alabastrze.

— *Rzuć ją i podepcz* — wołali inni — *to pewno jakieś czary.*

— *Nie, nie depcz tego* — upomniał ją stary żołnierz, który przykuśtykał na wzgórze za młodymi. — *Tu jest dziurka do przewlekania, noś tę rączkę na szyi na tasiemce, przyniesie ci szczęście.*

Ognisko dogasało, młodzi zbierali się iść z powrotem do wsi. Ale Zuzance nie chciało się jeszcze wracać do dusznej izby i namawiała koleżanki:

— *Noc taka ciepła, księżyc świeci, chodźmy na zamek!*

— *Co ci strzeliło do głowy* — obruszyły się — *to ty nie wiesz, że w noc świętojańską czarownice kręcą się wszędzie i knują?*

Zuzanka nie dała się jednak zastraszyć. Niby to poszła z innymi, ale po drodze zawróciła nie zauważona.

Usiadła między murami zamkowymi na darni i patrzyła w niebo tak pełne gwiazd, że aż oczy się jej mrużyły.

Wtem usłyszała w dali piękne granie. Zasłuchała się oczarowana, a tu muzyka się zbliża, ukazują się światła we wrotach zamkowych. Wychodzi odświętnie ubrana kapela, a za nią pani i pan w odświętnych szatach i złotych koronach. Dalej idą dworzanie parami, śliczne panny i młodzieńcy, wszyscy paradnie odziani. Po bokach słudzy z płonącymi pochodniami.

Obeszli zamek dookoła i zbliżyli się do Zuzanki. Śliczna pani skinęła na nią paluszkiem. Zuzanka nie zawahała się ani chwili, podbiegła do niej, a pani wzięła ją za rękę i prowadziła dalej.

W murze otworzyła się brama, kamienne schody wiodły za nią w dół. Wszyscy tam weszli, blask pochodni

Pani wzięła znowu Zuzankę za rękę i odprowadziła ją podziemnym przejściem do starej bramy, a tam skinęła jej białą rączką na pożegnanie i odeszła do zamku.

Kiedy Zuzanka wróciła do domu, schowała mirtowy wianuszek pod poduszkę i zaraz usnęła.

Rano opowiedziała rodzicom o swojej przygodzie.

— *To był chyba sen* — zastanawiał się ojciec.

— *Może* — szepnęła Zuzanka.

Wtem przypomniała sobie mirtowy wianuszek i zawołała:

— *Zaraz się przekonam, czy to wszystko widziałam naprawdę, czy mi się tylko śniło!*

Podbiegła do łóżka, sięgnęła pod poduszkę — a tam leżał wianuszek, ale nie mirtowy, tylko szczerozłoty.

Zdumieni rodzice obejrzeli go i popatrzyli po sobie. Ojciec wstał z ławy i chwycił łopatę. Oświadczył stanowczo: — *Prowadź mnie na to miejsce, Zuzanko, idziemy na zamek.*

— *Poczekajcie trochę* — radziła matka. — *Pełno ludzi pracuje w polu o tej porze. Będą ciekawi, po co idziecie na zamek, a pani przecież kazała, żeby nikt o niczym nie wiedział się i szedł po skończeniu podziemnego przejścia.*

Za tym przejściem Zuzanka zobaczyła wspaniały ogród, nad którym świeciło słońce jak we dnie. Dookoła kwitły przeróżne krzewy i rabaty kwiatowe, gałęzie drzew uginały się od owoców, a między nimi lekki wietrzyk roznosił zachwycające wonie. Pośrodku ogrodu stał biały, alabastrowy zamek.

Otworzyły się złote drzwi alabastrowego zamku i cały orszak wszedł tamtędy do wnętrza, tylko pani z Zuzanką została w ogrodzie. Zaprowadziła ją do mirtowego krzewu, urwała z niego długą gałązkę. Zrobiła z niej wianuszek, włożyła go na głowę Zuzance i powiedziała:

— *Dostałam od ciebie wiele wianuszków, teraz weź ten ode mnie na pamiątkę. Jutro przyjdź z ojcem na zamek, niech ojciec kopie tu, gdzie stoimy. Nie mówcie o tym nikomu, co znajdziecie.*

— *Tylko mamie i staremu Marcinowi, dobrze?* — poprosiła Zuzanka.

Pani się uśmiechnęła.

— *Dobrze* — powiedziała — *ale nikomu więcej, pamiętaj. I nie zostawajcie dłużej w tej wsi, przenieście się gdzie indziej. Poczekajcie do południa, aż ludzie wrócą do wsi na obiad.*

Tak zrobili.

Od głównej bramy zamkowej Zuzanka poprowadziła ojca w bok, tam gdzie stała z książęcą drużyną. Znaleźli pomiędzy krzewami niski murek i w nim furtkę, która w nocy stała się wejściem do podziemia. Przeszli tamtędy i zobaczyli okrągły podwórzec zarośnięty gąszczem krzaków i zielska.

— *Tu stał mirtowy krzak, obok tego drzewa, tylko w nocy nie było takie wysokie i grube* — powiedziała Zuzanka. — *Zapamiętałam dobrze to miejsce. O, patrz tato, tu nawet jest podobny mały krzaczek, może to prawnuczek tamtego?*

Ojciec zaczął kopać. Zaledwie zdjął warstwę ziemi, łopata stuknęła o wieko skrzynki okutej żelazem. Była tak ciężka, że nie mógł ruszyć jej z miejsca. Ale gdy tylko Zuzanka dotknęła jej alabastrową rączką, skrzynka dała się podnieść z łatwością. Zasypali dół i obłożyli go kamieniami, żeby nie było znać, a skrzynkę ponieśli razem do domu boczną drogą o zmierzchu.

Skrzynka była pełna złota. Stali się bogatymi ludźmi.

Po naradzie z żoną pokazali staremu inwalidzie skrzynkę i opowiedzieli skąd ją mają.

— *Słuchaj Marcinie* — dodał na zakończenie — *nam kazano opuścić tę wioskę, więc musimy się stąd wyprowadzić. Ale oboje z żoną bardzo byśmy się cieszyli, gdybyś zamieszkał w naszej chatce i rozporządzał się w niej, jakby była twoja. Zostawię ci też trochę gotówki, nie odmówisz mi chyba. Przykro mi tylko, że nie możemy obdarować biedaków ze wsi, którzy nam pomagali na początku, ale pani zabroniła nam mówić ludziom o naszym skarbie.*

— *Dobrze mówią, bo i tak pełno będzie gadania, jak się wyprowadzicie.*

I rzeczywiście ludzkie języki miały co mleć już od następnego ranka. Wczorajszy żołnierz przybłęda, we wsi wzięty za parobka, dzisiaj kupuje na jarmarku wóz i parę koni, osadza kamrata w żoninej chałupie, a sam z rodziną przenosi się do miasta, do wynajętego mieszkania. Skąd wziął na to pieniądze?

Jedni winszowali, inni zazdrościli — jak to na świecie bywa.

Zuzanka z rodzicami zamieszkała w mieście. Uczyła się teraz różnych rzeczy pięknego czytania i pisania, haftu, a nawet gry na harfie. Po trzech latach wyrosła z niej prześliczna, mądra panna, wielu młodzieńców o nią się starało. Ona wybrała sobie pewnego szlachcica, który najwięcej się jej podobał, i wyznaczono dzień ślubu.

W pięknej białej sukni z welonem, w złotym wianku mirtowym — no i oczywiście z alabastrową rączką na szyi — jechała Zuzanka na ślub, a z nią rodzice i pan młody, dalej drużbowie i druhny.

Wtem podszedł do karety jakiś stary kaleka, zdjął czapkę, pokłonił się i poprosił o jałmużnę. Zuzanka zawołała na furmana, żeby zatrzymał konie, popatrzyła na żebraka i krzyknęła:

— *Marcin!*

W jednej chwili wyskoczyła z karety, chwyciła starego za ręce i pyta:

— *Co to, nie poznajecie mnie? Przecież ja jestem Zuzanka! Przysiądźcie się do nas i opowiedzcie, co się z wami działo. Mój Boże, że też nie wiedziałam wcześniej, że wam bieda przycisnęła!*

Łzy stanęły jej w oczach. Stary popatrzył na nią rozczulony.

— *E, ja tylko udawałem żebraka, żeby popatrzeć na ciebie z bliska. Do waszej karety nie wsiądę, jam przecież mizerak, a ty teraz jaśnie pani. Nie chcę ci zrobić wstydu przed panem młodym i jego rodziną. Ale niech ci się szczęści, za to żeś została taka dobra, jak dawniej.*

Rodzice Zuzanki także poznali Marcina. Wyskoczyli na drogę i przyłączyli się do próśb Zuzanki, aż wciągnęli starego do siebie.

Widząc to pan młody pomyślał: „Serce moje nie pomyliło się, kiedy odgadło, że nie ma na świecie lepszej dziewczyny niż moja Zuzanka ani zacniejszych ludzi niż jej rodzice. Jakie to szczęście, że będę miał taką żonę".

Marcin jechał więc z nimi. Po drodze żalił się ojcu Zuzanki, że choć nędzy nie zaznał i na wsi ludzie byli dobrzy dla niego, jednak wciąż było mu tęskno za towarzyszem z wojska i jego rodziną.

— *Teraz jakem was zobaczył i pogadałem z wami, będę miał co wspominać przez jakiś czas* — zakończył uśmiechając się smętnie.

— *Nie martw się kolego* — pocieszał go ojciec Zuzanki. — *Już się teraz nie rozłączymy. Kupiłem całe wzgórze zamkowe z ruinami. Młodzi chcą wybudować wygodny dom niedaleko zamku, więc będziesz miał Zuzankę blisko. A zimą, kiedy mróz i śnieg dokuczą ci w chatce, zabierzemy cię do miasta.*

Tak się stało. Zacnym wieśniakom, którzy mu niegdyś pomagali, ojciec Zuzanki zwrócił wszystko dziesięciokrotnie. A kto tylko znalazł się w potrzebie, ten wiedział, że mu pomoże młoda pani z zamkowego wzgórza.

Alabastrowa rączka i złoty wianek były zawsze najdroższym jej skarbem.

POZIOMO: 1) grzbiet w Tatrach Zach.; 4) zespół izolowanych przewodów elektrycznych; 7) uczeń średniej szkoły wojskowej; 10) serweta; 13) jednostka monetarna Włoch; 14) część kończyny dolnej; 15) skorupiak; 16) miasto w woj. elbląskim, na Pojezierzu Iławskim; 17) w ramie okiennej; 18) siły zbrojne; 19) grupa czynnych działaczy; 20) kolor w kartach; 21) różyczka; 22) wołanie o pomoc; 23) pasza; 26) roślina ozdobna; 29) siedziba pionierów na Krymie; 32) rocznik; 36) tytuł władców rosyjskich; 37) gacek; 38) zespół roślinny o przewadze drzew; 39) jaszczurka z wyspy Komodo; 42) wrzątek; 45) na niej orzechy kokosowe; 48) bogini wojny; 51) wyjście piłki poza obręb boiska; 52) stolica Baszkirskiej ASRR; 53) może być rzeczny; 54) przyrząd radiolokacyjny; 55) zagadka obrazkowa; 56) gatunek sosny; 57) nadaje się na oczko do pierścionka; 58) część utworu scenicznego; 59) niski głos żeński; 60) pierwiastek chemiczny; 61) podziemne przejście; 63) nowelka B. Prusa; 66) rodniki aromatyczne (Ar-); 69) słodki likier kminkowy; 71) taniec; 74) kłamstwo; 77) ośmioosobowy zespół muzyczny; 80) płonie podczas olimpiady; 83) Międzynarodowa Federacja Bojowników Ruchu Oporu; 84) podanie bajeczne; 85) Stany Zjednoczone Ameryki; 86) jednostka monetarna USA; 87) cytat, sentencja; 88) lek do ssania; 89) starcie zbrojne, bój; 90) kwiat polny; 91) fosa; 92) prawy dopływ dolnej Odry; 93) dychawica; 96) wulkan na wyspie Honsiu (Jap.); 99) tętnica główna; 102) rysa; 106) jednostka pow. gruntów w krajach anglosaskich; 107) kierownik oddziału szpitalnego; 108) jednostka mocy; 109) pierwszy krąg szyjny; 112) imię Picassa; 115) okres; 118) jezioro w północnej Finlandii; 121) narząd wzroku; 122) pierwiastek promieniotwórczy; 123 ryba z rodziny karpiowatych; 124) czar, urok; 125) część oceanu; 126) utwór dramatyczno-muzyczny; 127) sztuczna skóra; 128) trójchloroetylen; 129) wyrwa po wybuchu bomby; 130) rodzaj uczesania; 131) szlak; 132) państwo w Afryce Równikowej; 133) zatoka Morza Czerwonego; 134) zgrupowane zwierzęta.

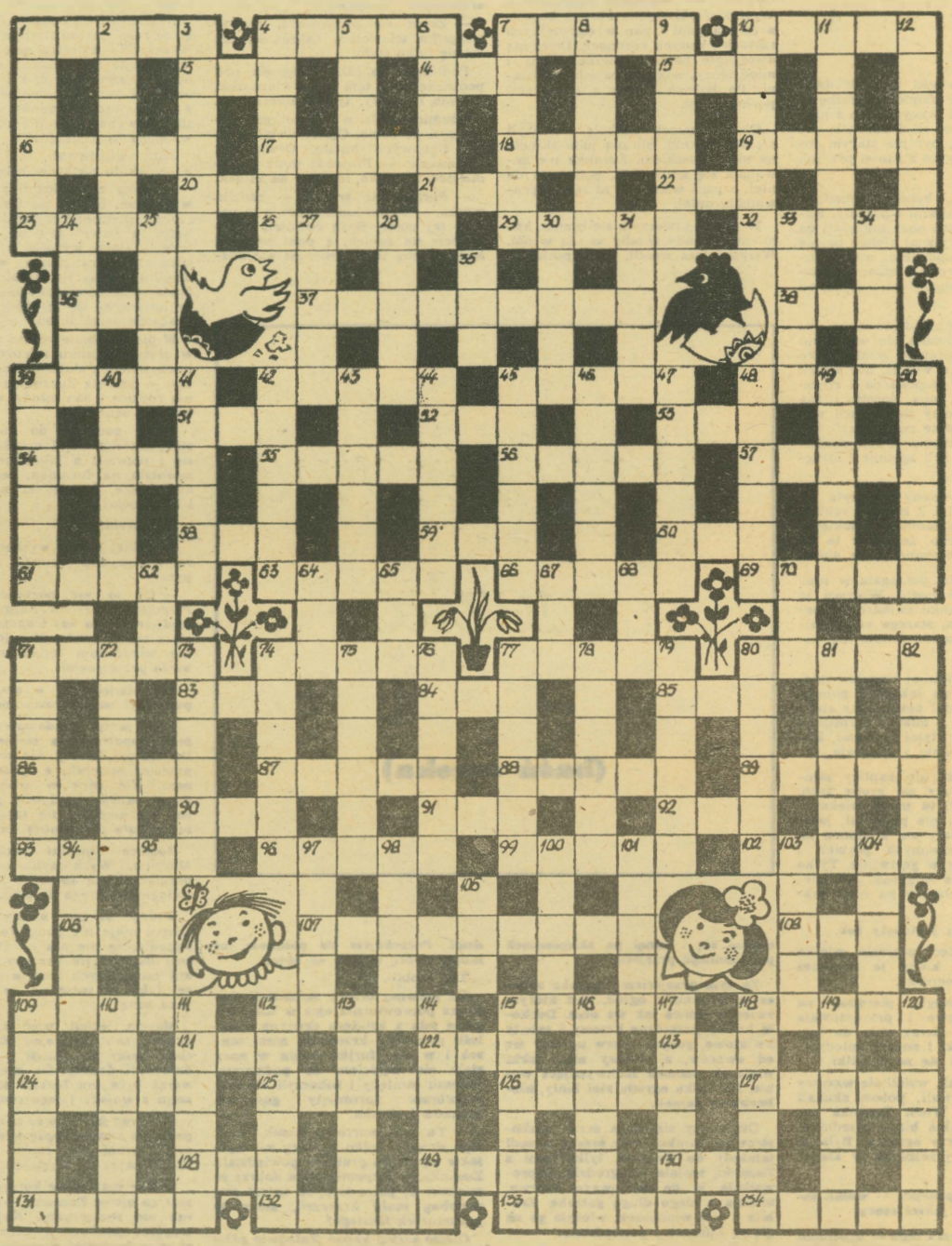

PIONOWO: 1) niemowlę; 2) napój bogów; 3) samica łosia; 4) ptak o błękitnym upierzeniu, chroniony; 5) bohater „Chłopów"; 6) stolica Zambii; 7) stora; 8) prawda religijna, stanowiąca artykuł wiary; 9) chrzest; 10) omasta; 11) poseł nowogrodzki (1746—80), wsławił się niezłomnym oporem przeciw rozbiorowi Polski; 12) porywisty wiatr, często z deszczem; 24) działanie, czynność; 25) liście tego drzewa stanowią pokarm dla gąsienic jedwabnika; 27) przybudówka, 28) pokrywa; 30) kapusta polna; 31) biokatalizator, 33) napad powietrzny; 34) pierwiastek chem. o liczbie atom. 33; 35) fant; 39) wiersz lub fragment tekstu stanowiący całość myślową; 40) kwadryga; 41) duży ssak morski; 42) prawy dopływ Bzury; 43) średniowieczny śpiewak kościelny, aktor wędrowny; 44) nie cegła; 45) płytka służąca malarzom do rozrabiania farby; 46) rodzina małpiatek; 47) uszkodzenia maszyn, pojazdów itp.; 48) sklepienie łukowe; 49) część świata; 50) poklask, uznanie; 62) jednostka pracy i energii; 64) najdłuższa rzeka; 65) elektrokardiografia; 67) 365 dni, 68) marka dżinsów; 70) tkanina dekoracyjna; 71) bezdrzewne równiny okolic arktycznych; 72) młodsza epoka kamienna; 73) fajtłapa; 74) gol; 75) uczuciowa obojętność; 76) staroż. naczynie ceramiczne; 77) stolica Kanady; 78) gwałt, zastraszenie, ucisk; 79) odosobniony szczyt górski o stromych zboczach i ostrym wierzchołku; 80) zaczyn piekarski; 81) sielanka; 82) np. karnawałowa; 94) klub sportowy w Nowym Sączu; 95) znak fabryczny towaru; 97) ptak z rodziny krukowatych; 98) wzorzec; 100) część łowiska leśnego, gdzie gromadzi się gruba zwierzyna; 101) miasto w Konińskim Zagłębiu Węgla-Brunatnego; 103) arbuz; 104) powoduje zawał; 105) artretyzm; 109) punkt widzenia; 110) zsuwające się masy śniegu; 111) dzień tygodnia; 112) posąg, obelisk; 113) pracownik bufetu w barze; 114) imię bohatera tragedii Szekspira; 115) żłobienie powierzchni ziemi przez wody płynące; 116) propozycja; 117) stan USA; 118) książeczka legitymacyjna studenta; 119) imitacja; 120) służy do unieruchomienia przedmiotów podczas obróbki. **Rozwiązania prosimy nadsyłać do 27 IV.**

na ekranie TV

17. IV. — 24. IV.

PIĄTEK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
9.00 Teleferie;
15.25 Program dnia;
15.30 NURT;
16.00 Dziennik;
16.15 Obiektyw;
16.30 Dla dzieci: „Piątek z Pankracym";
17.00 „Hrabia Gaston — rycerz z Pirenejów" (3) film franc.;
17.55 „Magazyn motoryzacyjny";
18.15 Skarlatec;
18.50 Dobranoc;
19.00 Monitor rządowy;
19.30 Dziennik;
20.15 Teatr faktu — Hanna Krall, Andrzej Brzozowski „Zdążyć przed Panem Bogiem";
21.15 Rolnicze rozmowy;
21.25 Listy o gospodarce;
22.05 Dziennik;
22.20 Film telewizyjny na świecie — „Ocalić dane" — ang. film obycz.

PROGRAM II

DWÓJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

16.00 „Nieznani bohaterowie" (5);
16.55 „Ziemia ojców" (3);
16.25 Program dnia;
16.30 Język francuski (26);
16.56 Język rosyjski (26);
17.30 Język angielski dla zaawansowanych (19);
18.00 Dla młodych widzów: — „Kino Obieżyświat" — Australia;
18.30 Dla młodych widzów: poradnia „Zaufanie";
19.00 KRONIKA (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 Nieznani bohaterowie (5);
20.50 Program na dziś i jutro;
21.20 24 godziny;
21.30 Koncert orkiestry PRiTV w Krakowie;

SOBOTA

PROGRAM I

8.55 Program dnia;
9.00 Teleferie — „Cudowny świat Walta Disneya";
9.50 „Ciąg dalszy napisało życie" — wojsk. progr. hist.;
10.20 Koncert WOSPRiT;
11.10 Kultura 81 — książka;
12.05 „Partnerzy";
13.20 Z wojennych dni — „Tak tu cicho o zmierzchu" — dramat wojenny prod. ZSRR;
15.30 Z Polski rodem (magazyn polonijny);
16.00 Dziennik;
16.15 Telewizja młodych kosmonautów — „Orbita";
17.25 I liga piłki nożnej;
18.15 „Jeden dzień w Polsce" — rep. film.;
18.50 Dobranoc;
19.00 Telewizja młodych przedstawia — „Decyzje";
19.30 Dziennik;
20.00 „Jakub Offenbach" (6 — ostatni) — „Wspomniany walc";
21.05 „Prapremiera" film dok. Ludomira Motylskiego zrealizowany z okazji prapremiery sztuki Karola Wojtyły „Brat naszego Boga";
21.45 Wspomnienie o Annie Jantar;
22.30 Dziennik;
22.45 Kino nocne — „Dwoje na huśtawce" — amerykański dramat obyczajowy;

PROGRAM II

11.35 Program dnia;
11.40 Filmowe adaptacje literatury — „Wyprawa po złoto" — rumuński film przygr. ekranizacja opow. Jacka Londona;
13.20 Spotkanie w Woli Uhruskiej;
13.35 „Małe kino";
13.50 Telewizja hiszpańska przedstawia — „Czas jesieni" — progr. rozr.;
14.15 „NRD — kwiecień 81";
15.00 Opera miesiąca — Ryszard Wagner — „Tannhaeuser" — (1);
16.15 „Popołudnie podróży i przygody";
17.45 „Ziemia ojców" (3);
19.00 KRONIKA (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Fakty" — biuro muzyki rozrywkowej — dyskusja o profesjonalizmie wykonawców estradowych „ilustrowana" występami m. in. Heleny Vondrackovej, Sylvie Vartan i zespołu „Vox";
20.45 „Album wierszy polskich" — Jan Kochanowski;
21.45 „Niebezpieczny pościg" (3) — „W samotni karla" — film sens. TV NRD;
22.20 „Przeboje mistrzów" (10);
23.00 24 godziny;

TV Bratysława

8.20 Pionierska Jaskółka;
11.10 „Curro Jimenez" (3);
12.00 Studio Jezerka;
12.55 MS w hokeju na lodzie;
15.50 Śpiewa cała rodzina;
16.55 MS w hokeju na lodzie;
19.30 Dziennik;
20.00 „Przyjaciele Zielonej Doliny" (6);
20.40 Bakałarze 1981;
23.05 „Rozwiązanie" — ameryk. film sensac. (1);
23.55 Świat się bawi.

NIEDZIELA

PROGRAM I

7.40 „Nowoczesność w domu i zagrodzie";
8.10 Emerytury dla rolników;
8.20 „Od słowa do działania";
8.35 „Telewizjada";
8.55 Program dnia;
9.00 „Teleranek";
10.30 „Tajemnica benedyktyńskiego opactwa" — film dok.;
11.10 „Dla serca, dla ducha" — widowisko artystyczno-publicystyczne;
11.50 Dziennik;
12.05 Telewizyjny koncert życzeń;
12.50 „Hrabia Monte Christo" ang. film przyg.;
14.30 Dla dzieci: „Bajki przez telefon";
15.10 Losowanie dużego lotka;
15.25 „Juliusz Cezar" amerykański dramat hist.;
17.30 Włochy — NRD — (2) połowa tow. meczu w piłce nożnej;
18.20 „U wrót krainy zimna";
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.00 „Panny z Wilka" pol. film obycz.;
21.55 Sportowa Niedziela;
22.25 „Moje marzenie" recital zespołu „3 + 1";
23.05 Kino nocne — „W upalną noc" — ameryk. film krym.;

PROGRAM II

10.00 Program dnia;
10.05 „Frontowe listy" rep. wojsk.;
10.30 „Misja" (5);
11.20 „Szkolny walc" radz. film obycz.;
12.50 „Przeboje tygodnia";
14.05 Opera miesiąca Ryszard Wagner — „Tannhaeuser" — (3);
15.35 „Mój koncert" — Beata Tyszkiewicz;
15.25 Włochy — NRD — 1 połowa tow. meczu w piłce nożnej;
17.20 Teatr telewizji Karol Hubert Rostworowski — „Judasz z Kariothu";
19.00 „Architektura drewniana w Polsce" — film dok.;
19.30 Dziennik;
20.00 „Czary — mary" franc. progr. estradowy;
21.05 Szanujmy wspomnienia — „Ona i inne" (piosenki Beatlesów);
21.55 „Jak nauczyć się szwedzkiego" — czechosłowacka kom. film.;
22.35 Bluesy Romana Śliwonika;

TV Bratysława

8.20 Chodźcie z nami...;
10.45 „Legenda o Robin Hoodzie" (4);
12.10 Grają dla przyjemności;
12.05 J. Hercikova: „Ten koń musi pójść precz";
14.10 6 + 1;
15.40 Muzyka wieczne żywa;
16.20 10 stopni do złota;
17.00 Film fabularny;
18.30 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.05 „Bocianie gniazdo" (4);
21.30 R. Piskaczek: „Perły panny Serafinki" — inscenizacja operetki;
23.00 „Rozwiązanie" (2).

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

8.50 Studio-2;
9.00 „Teleferie" — „Wspaniały świat Walta Disneya";
9.50 Słowno-muzyczny magazyn egzotyczny;
10.30 Zatrzymane w kadrze — program Ryszarda Wójcika;
10.56 „Pani minister tańczy" pol. film archiwalny;
12.25 Dziennik;
12.40 Muzyka dla pierwszoklasistów;
13.10 The Beatles — Teleturniej muzyczny;
13.35 „Kino — oko" — Śledztwo w sprawie komitów" — film dok. prod. RFN;
15.10 „Gwiazda estrady" radz. film fab. w roli głównej Alla Pugaczowa;
16.35 Dla dzieci: „Różowa pantera" — film anim.;
17.00 „Złamany pałasz" western produkcji USA;
18.35 „Muppet show" — Cloris Leachman;
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.00 Teatr telewizji — Wojciech Bogusławski — „Henryk VI na łowach";
21.25 Rozmowa dnia;
21.45 Studio sport;
22.00 Osmond's Brothers — program rozr.;
22.50 Kino kamerton — „Nie strzelać do muzyki" — rep. film.;

PROGRAM II

11.45 Program dnia;
11.50 „Granica w górach" — wojsk. film dok.;
12.10 „Szaługi i konsolety" filmy dok.;
13.00 „Darek" — wspomnienie o Aleksandrze Żabczyńskim;
13.35 „Jaskółki i amazonki" ang. film przyg.;
15.05 Zimne nóżki — oczy czarne — rep. film.;
15.20 Opera miesiąca — Ryszard Wagner — „Tannhaeuser" (3);
16.35 O scenografii telewizyjnej — „Rewia" — opowiada Xymena Zaniewska;
17.10 Spotkanie z zespołem „Novi Singers";
18.10 „Architektura drewniana w Polsce" — film dok.;
18.40 „Na estradach świata" — Paul Anka w Monte Carlo;
19.30 Dziennik;
20.00 „Marilyn Monroe" — film dok. prod. USA;
21.20 „Paryż w sierpniu" — fran. kom. liryczna;

WTOREK

PROGRAM I

9.00 „Teleferie";
14.25 Telewizja w sprawie miliardów;
15.25 Program dnia;
15.30 „Telewizyjny klub seniora";
16.00 Dziennik;
16.15 Obiektyw;
16.30 „Dzień dobry, w kręgu rodziny";
17.00 „Struś Pędziwiatr przedstawia" — film anim.;
17.20 „Interstudio";
17.50 Polska Kronika Filmowa;
18.00 Magazyn „c.d.n.";
18.50 Dobranoc;
19.00 „Camerata";
19.30 Dziennik;
20.15 „Sól ziemi" — film TV radz.;
21.25 „Horyzont" — „Partner czy rywal" — progr. publ.;
22.05 „Właściwy człowiek" — „Między młotem a kowadłem" — dylemat kadry kierowniczej;
22.40 Dziennik;
22.55 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

DWÓJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

16.00 „Antykwariat";
16.30 „Sól ziemi" (4) film TV radz.;
11.25 „Właściwy człowiek";
16.30 Program dnia;
16.35 Język angielski (27) kurs podst.;
17.05 Język niemiecki (27) kurs podst.;
17.30 Język francuski (27) kurs podst.;
18.00 „Cała naprzód";
18.30 Spotkania literackie;
19.00 KRONIKA (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Antykwariat";
20.30 Wtorek melomana;
21.30 24 godziny;
21.40 Wieczór filmowy;

ŚRODA

PROGRAM I

13.30, 14.00 TTR, RTSS;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.25 Program dnia;
15.30 NURT;
16.00 Dziennik;
16.15 Obiektyw;
16.30 Dla dzieci: „Michałki";
17.00 Losowanie express i małego lotka;
17.10 „Dom i my" — poradnik;
17.30 Drugie oblicze kultury — „Wernisaż w Bilgoraju" — reportaż;
17.50 Wideografika — „Animacja telewizyjna";
18.20 Pamięć „Puszcza";
18.50 Dobranoc;
19.00 „W świecie dzikich zwierząt";
19.30 Dziennik;
20.00 Program rozrywkowy;
20.55 „Mieszkaniowe progi" progr. publ.
21.40 Studio sport — Puchary Europy w piłce nożnej;
22.30 Dziennik;
23.05 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

DWÓJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

16.00 „Kąpiel" — film prod. węg.;
16.50 Kosmos — nafta;
16.30 Program dnia;
16.35 Język angielski dla zaawansowanych (19);
17.05 Język angielski (27) kurs podst.;
17.35 Język niemiecki (27) kurs podst.;
18.00 „Nasza elektrownia" — rep. film.;
18.10 „Kąpiel" — film obycz. prod. węg.;
18.00 Kronika (Kr.)
19.30 Dziennik;
20.00 Kosmos — nafta;
21.30 24 godziny;
21.55 Kosmos — nafta;

CZWARTEK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
8.10 Przysposobienie obronne, kl. VIII i lic. — postępowanie w terenie;
9.00 Historia, kl. VI — Za Wolność Waszą i Naszą;
11.55 Nauka o człowieku, kl. VIII — jak dziecko staje się dorosłe;
12.50 „Syberia" — film oświatowy;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
13.30—14.00 TTR, RTSS;
14.00 Telewizja w sprawie miliardów;
15.25 Program dnia;
15.30 „Turniej zastępowych";
16.00 Dziennik;
16.15 Obiektyw;
16.30 Czwartek TDC;
17.30 Informator turystyczny;
17.45 Magazyn lotniczy;
18.15 Telewizja młodych przedstawia — Nasze przeboje książkowych;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Sonda" — „Równowaga";
19.30 Dziennik;
20.15 „Misja" (6) — film sens. TP;
21.40 „Pegaz";
22.15 „Zapis autoryzowany" — progr. publ.;
22.55 Dziennik;
23.10 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

DWÓJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

10.00 Magazyn lotniczy;
10.30 Informator turystyczny;
10.45 „Sonda";
11.15 „Uśmiech spod parasola";
16.25 Program dnia;
16.30 Język rosyjski (27) kurs podst.;
17.00 Język angielski (3) kurs dla zaawansowanych;
17.30 Język angielski (27) kurs podst.;
18.00 Program morski;
18.30 „Szacunek dla chleba";
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 NURT;
20.30 NURT;
21.00 24 godziny;
21.10 „Kompozytorzy bodzcy w twórczości kameralnej";
21.45 Mistrzostwa Europy w zapasach — kronika;
22.15 „Bez recept";
22.45 NURT.

Za zmiany wprowadzone w ostatniej chwili redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

REPERTUAR KIN

(Przypominamy, że filmy szczególnie przez nas polecane wyróżniamy drukiem pogrubionym).

GORLICE: 18—19 Rafferty i dziewczyny (USA, kontestatorski), 20—21 Zaułek dziewic (meksykański, obyczajowy), 22—23 Detektyw (radziecki, kryminalno-przygodowy); **GRYBÓW:** do 23 Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce (polski, dokument); **KROŚCIENKO:** 17—19 New York, New York (USA, musical) 20—22 Ćma (polski, psychologiczno-społeczny), 24—26 Powrót do domu (USA, psychologiczno-społeczny); **KRYNICA:** 16—19 Zamach stanu (polski, rekonstrukcja dokumentalna), 20—21 Zwolnienie warunkowe (USA, kryminalno-społeczny), 22—23 Gehenna (polski, melodramat); **LIMANOWA:** do 20 Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce (polski, dokument), 21—22 Detektyw (radziecki, kryminalno-przygodowy), 23—26 Cena strachu (USA, sensacyjno-przygodowy); **MSZANA DOLNA:** do 19 Parszywa dwunastka (USA, wojenno-przygodowy), 20—22 Piękna i Potwór (czechosłowacki, legenda kostiumowa); **MUSZYNA:** 17—18 Cudze pieniądze (francuski, psychologiczno-społeczny), 21—23 Każdy umiera w samotności (RFN, dramat antyfaszystowski); **NOWY SĄCZ** — Kolejarz: 17—20 Szczęki II (USA, horror przygodowy), 21—23 W biały dzień (polski, moralitet polityczny); **NOWY SĄCZ** — Krokus: 17—19 Kontrakt (polski, komediodramat społeczny), 21—23 Ucieczka na Atenę (brytyjski, wojenno-przygodowy); **NOWY SĄCZ** — Podhale: do 18 Coma (USA, thriller medyczny), 18—22 Przypływ uczuć (francuski, sensacyjno-przygodowy), 23—27 Zamach stanu (polski, rekonstrukcja dokumentalna); **NOWY TARG:** 18—23 Zamach stanu (polski, rekonstrukcja dokumentalna); **RABKA:** 18—20 King-Kong (USA-włoski, sensacyjno-fantastyczny), 21—23 Zew rodu (czechosłowacki, prehistoryczny), 23—24 Portret Shunkin (japoński, o miłości); **STARY SĄCZ:** 18—20 Superpotwór (japoński, sensacyjno-fantastyczny), 21—23 Wielki podryw (polski, młodzieżowy); **SZCZAWNICA** — Pieniny: Parszywa dwunastka (USA, wojenno-przygodowy); **ZAKOPANE:** do 20 Gangsterzy szos (kanadyjski, sensacyjny), 21—23 Rok Święty (francuski, sensacyjno-przygodowy).

Ponadto: LUBIEŃ: 19 Koronczarka (szwajcarsko-francuski, o miłości); **LIPTRO:** 18—20 Powrót do domu (USA, psychologiczno-społeczny); **TYMBARK:** 20—22 Kieszonkowe (francuski, opowieść o dzieciach).

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz redakcji), Krzysztof Dybel (z-ca sekretarza redakcji), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Antoni Kroh, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny), Stanisław Śmierciak (fotoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11. Telefony: 238-36, 238-90. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-29, 275-88 wewn. 238. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.

Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń ul. Wiślna 2. 31-007 Kraków, telefon: 270-89 oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 208 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28. 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Nr indeksu 35657. F-8.

Białe króliki w „Peking Hotel"

W reprezentacyjnym hotelu stolicy Chin „Peking Hotel" doszło do afery z białymi królikami. Jeden z zagranicznych rezydentów, który już miał dość swoich dwóch codziennie upijających się sąsiadów, zakupił na targu dziesięć białych królików i wpuścił do pokoju jednego z pijaków, licząc, że tamten przestraszy się, iż dostał ataku delirium tremens.

Ofiara kawału pomyślała, że dowcipnisiem jest jego kompan, więc podrzucił mu pięć królików. Przez wiele dni białe króliczе uszy i ogonki pojawiały się i znikały w załamaniach hotelowych korytarzy. Jeden z nich zamieszkał w barze, gdzie obgryzał palmę.

W końcu króliki zniknęły z hotelu, chociaż w karcie dań restauracji nie pojawił się jeszcze królik w potrawce...

„TIMES"

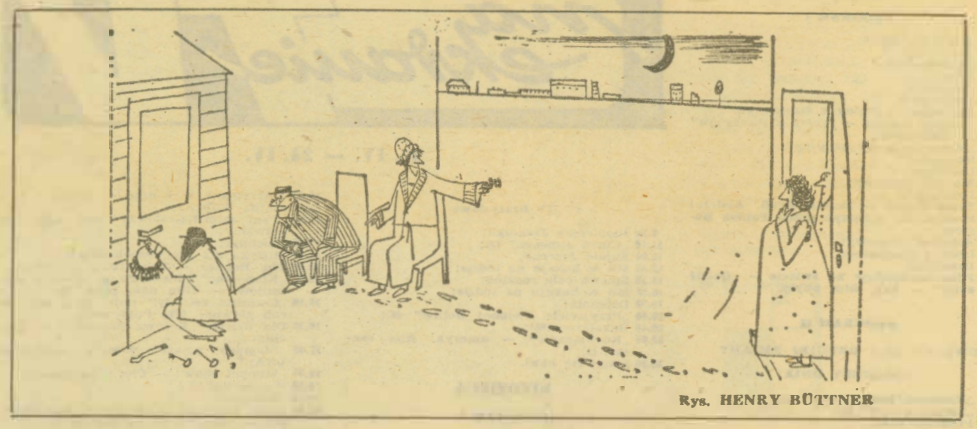

Rys. HENRY BÜTTNER

Kobieta musi wybierać: z mężczyzną kochanym przez inne kobiety nie czuje się pewnie, z mężczyzną niekochanym przez inne jest nieszczęśliwa.

Flaubert

Z ŻYCIA NA WESOŁO

Papieros

24-letni mieszkaniec Duesseldorfu Guenter Feistel wypalił niedawno chyba jeden z najdroższych papierosów. Prowadził akurat swojego „forda escorta" z przylepionym, jak zawsze, do warg papierosem, kiedy nagle zebrało mu się na kichanie. Kichnął, pet wyleciał mu z ust, zaczął go szukać gorączkowo dłonią i w tym momencie stracił panowanie nad kierownicą, doprowadzając do kraksy z drugim wozem. Feistel wyszedł z wypadku bez poważniejszych obrażeń, czego nie można powiedzieć o jego wozie, którego „reanimacja" pochłonęła 4250 dolarów. Nie przejmował się tym jednak, ponieważ wóz był ubezpieczony. Nie martwił się nawet wtedy, gdy towarzystwo ubezpieczeniowe zaczęło wnikliwie badać przyczynę wypadku, by orzec, że kierowca jest winny poważnego zaniedbania, ponieważ właśnie paleniem papierosa spowodował kraksę. Feistel skierował sprawę przeciwko towarzystwu ubezpieczeniowemu do sądu, ale przegrał. Nie wierzył ciągle, wniósł apelację, ale przegrał również. Prowadząca sprawę w sądzie apelacyjnym kobieta, nota bene sama namiętnie paląca papierosy, zawyrokowała w sposób nie znoszący jakiegokolwiek sprzeciwu: twierdzenie, że palenie za kierownicą jest złym, niemniej powszechnym nawykiem, nie może w niczym uwalniać od winy.

Rys. JULIAN BOHDANOWICZ

Dowcipny kaznodzieja

Za najlepszego kaznodzieję roku uznany został w Ameryce wielebny David H. C. Read z kościoła prezbiteriańskiego w Nowym Jorku. Głosi on, że pomiędzy niebem, a piekłem nie ma tak wielu różnic – oddalone są tak samo od ziemi i panuje tam taka sama temperatura. Tylko obsada jest inna: w niebie policjantami są Anglicy, szefami kuchni Francuzi, Niemcy inżynierami, Szwajcarzy organizatorami, a Włosi kochankami. A w piekle policjanci to Niemcy, kucharze to Anglicy, Włosi są organizatorami, natomiast kochankami – Szwajcarzy.

DOŚWIADCZENIE: to, co człowiekowi zostaje, kiedy już wszystko utracił.

O przyszłość trzeba zadbać samemu. Takiego zdania są ci, którzy wsadzają rękę do cudzej kieszeni.

Margaret Thatcher

Rekordziści

Zachodnioniemiecki tygodnik „STERN" ogłosił listę najlepszych sportowców w historii ludzkości. Pierwsze miejsca zajęli: Krzysztof Kolumb w żeglarstwie, Wilhelm Tell w strzelaniu, Dżyngis Chan w jeździectwie, Mojżesz w alpinizmie, Ikar w skokach na lotni, Hamlet w szermierce, Henryk V w chodzie (niektórzy jednak twierdzą, że Moo stanowiłby lepszy wybór) i Salome w gimnastyce artystycznej.

Kryminał-tango

Allan Rutty, odbywający karę 6 miesięcy pozbawienia wolności w więzieniu w Brixton uciekł, by spędzić noc na popijawie. Ale upił się tak bardzo, że nie potrafił przelezć z powrotem przez mur więzienny, pod którym naszła go policja i aresztowała. W trakcie przesłuchania oświadczył: „Środki zabezpieczające przed ucieczką z więzienia są tak śmieszne, że więźniowie po prostu nie mogą nie uciekać".

Wyobraźnia przestrzenna

Projektant osiedla „Północ-2" w Ełku nie zauważył jeziora i szkołę ulokował pośrodku akwenu. Stara Wenecja się wali, ale oto w Ełku wyrośnie nowa.

Rys. SŁAWOMIR MROŻEK

Macie ochotę dożyć stu lat? Zastosujcie się więc do przepisu: nie pić, nie palić, nie martwić się, nie używać żadnego środka transportu i jak najczęściej zmieniać żony.

Taką właśnie recepte na starość proponuje Etiopczyk Yugezu Xemuru, liczący sobie 120 lat, niedowidzący na jedno

Recepta na długowieczność

oko i cierpiący wyłącznie na artretyzm. Ponoć żenił się 13 razy, ma czternaścioro dzieci i czterdzieścioro wnucząt...

„Jeśli wasza żona zrzędzi, natychmiast rozwiedźcie się, nie dajcie się ponosić emocjom i nigdy inaczej nie podróżujcie jak piechotą — radzi Xemuru czytelnikom jednego z etiopskich dzienników.

(AFP)

Nadrzędny cel

Dziennik „Żenminżypao" przywołał ostatnio ostro do porządku chińskich piosenkarzy za naśladowanie „wulgarnego stylu" niektórych gwiazd piosenki z Tajwanu i Hongkongu. „Żenminżypao" oskarżył chińskich piosenkarzy o śpiewanie „słodkim głosem" i „kołebanie się" przed publicznością dodając, iż jeszcze do tego krzykliwie się ubierają. Gazeta uważa, że nadrzędnym celem muzyki i piosenki powinno być wpajanie ludziom „miłości do ojczyzny, partii i narodu" oraz ubolewa nad tym, że zagraniczne piosenki trafiają do programów spektakli organizowanych na aprobatą władz.

(AFP)

21-letni David Hasenfratz zeznał policji, że jeśli miesza whisky Jack Daniel's Black Label i piwo, zamiast do ko-

Indyferentyzm

biet zabiera się do samochodów zagranicznych marek. Stwierdził, że nie wie, dlaczego tak się dzieje.

(ST. LOUIS POST-DISPATCH)